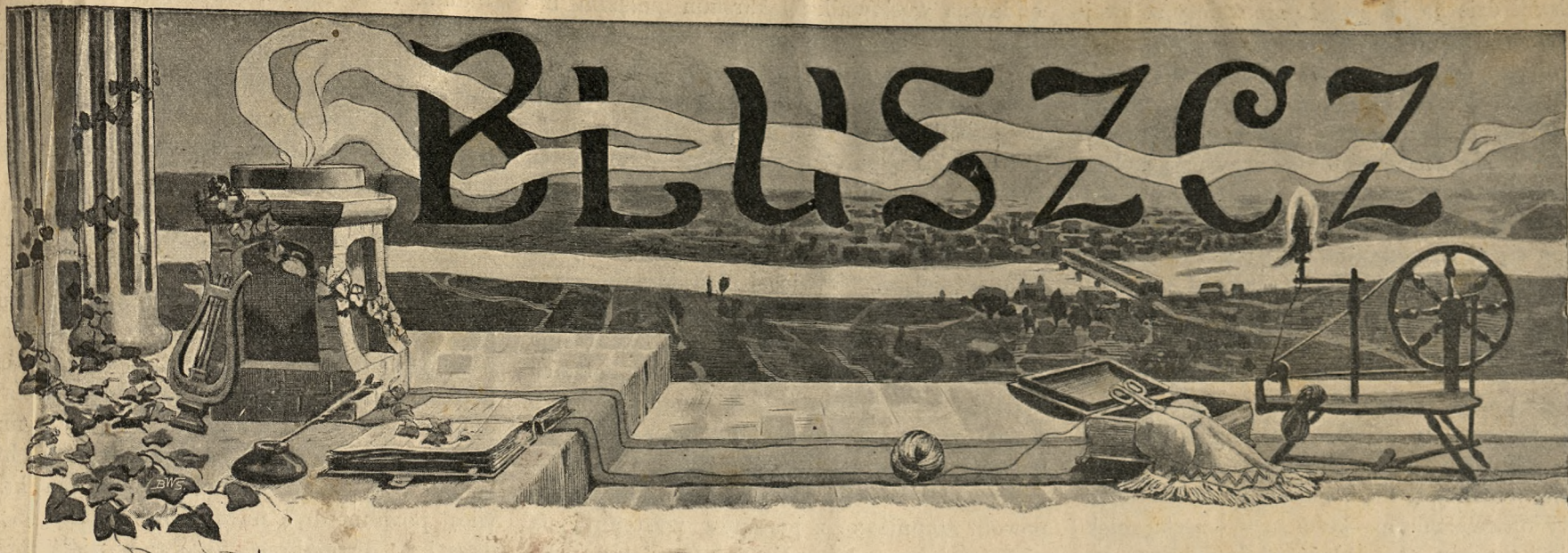




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 25, półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Po-
znaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

Rozwój fizyczny dziecka i krzywica.

Skreślił

D-r JÓZEF BRUDZIŃSKI (Łódź).



(Ciąg dalszy).

Jakśmy widzieli, obwód głowy wzrasta w pierwszym roku o 12 ctm., tyle, co przez resztę życia. Dzieje się to wskutek kształtowania się i wzrastania mózgu. Mózg dziecka w stosunku do całego organizmu przedstawia ogromną wagę, wynosi bowiem 13—14% wagi ciała, gdy u dorosłego tylko 2, 4%. Przy końcu pierwszego roku mózg dziecka dosięga połowy wagi, jaką posiada później u dorosłego. Taki szybki wzrost mózgu może się odbywać, bez obaw nurtujących nieraz matki, że „dziecko główkę rozsądzi”. Natura w swej przemyślności urządziła to odpowiednio—kości głowy dziecka nie są zupełnie zrośnięte, istnieją pomiędzy nimi połączenia luźne, pozwalające im się rozszerzać i rosnąć, a nawet na miejscu połączenia dwu kości ciemieniowej i dwu kości czołowych, czy i prawie pośrodku sklepienia czaszki i—jeśli szersze połączenie w kształcie czworokątnej błonki, to, jak się zazwyczaj nazywa ciemiączkiem. Przez tę błonę widać pulsowanie mózgu i przy dotknięciu palcem dokładnie ono wyczuć się może. Ciemiączko to, którego najczęściej ma się w obawie uszkodzenia jakiegokolwiek nadmierne nie śmiać, jest to jakby regulator mózgu i ciśnienia wewnątrz czaszki. Przy zwiększonym ciśnieniu z jakiegokolwiek powodu uwypukla się nieraz bardzo normalnie powinno być prawie równo, ale zaledwie tylko wznosić się ponad nie powinno być jednak mocno zapadnięte, na miejsce np. po chorobach kiszek, związanych z dużą utratą wody z organizmu

i przy innych chorobach. Ciemiączko u dziecka poczynając od 6-go miesiąca zaczyna się zmniejszać, aż wreszcie koło 12—14-go miesiąca zarasta zupełnie. Niektóre dzieci miękają ciemiączko otwarte i duże po za ten termin—dowodzi to już stosunków nienormalnych.

Przy ocenianiu rozwoju fizycznego dziecka, zwracać należy uwagę na ząbkowanie. Na to, przyznać trzeba, matki zwracają baczną uwagę, a to ze względu, iż procesowi ząbkowania przypisuje się od dawien dawna ogromne znaczenie dla zachorowań dzieci; nie ma prawie choroby, którejby nie uważano jako skutek ząbkowania. W rzeczywistości ząbkowanie jest to proces fizjologiczny, który się najczęściej odbywa bez wszelkich zaburzeń, istnieją jednak wypadki bardzo ciężkiego ząbkowania, odbijającego się niekorzystnie na organizmie dziecka—dziecko traci na wadze, traci humor, apetyt, niekiedy nawet przedstawia lekkie zaburzenia żołądkowe. Faktom tym zaprzeczyć nie można. Stwierdza je wszakże doświadczenie; (gdy się obserwuje klinicznie i waży niemowlęta podczas ząbkowania). Nie można jednak budować na tem teorii o ząbkowaniu, jako wszechprzyczynie chorób niemowląt. Matkom trudno się dziwić, że chwytają się tej teorii, jak deski zbawienia, podług niej bowiem, gdy ząbek się wyrznie i choroba zniknie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, nadzieja ta kojąco wpływa na zaniepokojoną chorobą dziecka i trwożnie patrzącą w przyszłość matkę, lecz właśnie dla zaradzenia złemu nie należy uspokajać się tą teorią, albowiem przez czas czekania choroba, zależna nieraz od zupełnie innych przyczyn postępuje i komplikuje się. Dla tego też ważnem jest wiedzieć, jak się normalnie ząbkowanie odbywa. Okres wyrzynania się pierwszych ząbków jest dość długi, poczynając bowiem od 4—5-go miesiąca i ciągnie się do 8—9;

wyrzynanie się pierwszych ząbków w tym ostatnim okresie nie zbacza bardzo od normy, choć najczęściej przyczyną tego opóźniania się bywa krzywica, czyli t. zw. choroba angielska. Stanowczo już dziecko cierpi na krzywicę, gdy pierwsze ząbki nie zjawiają się przed końcem pierwszego roku, lub gdy pa-
uzy pomiędzy wyrzynaniem się ząbków są zbyt długie. Normalnie z końcem pierwszego roku dziecko powinno mieć już 8 ząbków: cztery dolne siekańce i cztery górne, koło 1½ roku powinno dostać jeszcze 8 ząbków — (4 trzonowe przednie, potem 4 kły), przy końcu drugiego roku lub w początkach 3-go ostatnie 4 trzonowe. Rzeczy te są powszechnie znane, chodzi mi więc tylko o zaznaczenie, że spóźnione bardzo ząbkowanie jest zjawiskiem nienormalnem, najczęściej zależnem od krzywicy.

Dużą uwagę zwracać należy na ruchy dziecka, uwarunkowane przez rozwój jego systemu mięśniowego, t. zw. mięśniów. O ile, jak widzieliśmy, masa mózgu jest w stosunku do całego organizmu znacznie większą u niemowlęcia, niż u dorosłego, o tyle mięśnie jego są stosunkowo słabo rozwinięte, wynoszą one tylko 20% wagi całego ciała, podczas gdy u dorosłego 43%. Mięśnie są delikatne, bledsze, o większej zawartości wody, wzrastają i wyrabiają się dopiero z wiekiem, w miarę ćwiczeń i odżywiania. Sprawność mięśni wzmagają się jednak dość szybko, tak, że 6-cio—7-mio letni chłopiec rozporządza połową siły mięśniowej dorosłego, 14-sto letni 5/6 siły dorosłego. Pierwsze ruchy dziecka są automatyczne-odruchowe. Dowolne ruchy zauważyć się dają w dziecku koło 6-go tygodnia, gdy dźwiga główkę; pierwsze próby siadania przypadają na koniec 5-go i 6-ty miesiąc, w tym też czasie nasze małe pociechy robią odkrycie, że wielki palec u nogi jest znacznie smaczniejszy, niż piąstka. Od tej

chwili dziecko już świadomie walczy ze swoją niemocą, zapędy do stania są coraz gwałtowniejsze, dziecko zaczyna wyladowywać swoją energię, skacząc na rękach piastunki, czy też, gdy się je podtrzymuje pod rączki, wreszcie przy końcu pierwszego roku zrywa się do lotu. Niektóre dzieci zaczynają chodzenie bez pełzania, inne natomiast czolgają się dość długo, nim się na samodzielne wycieczki dwunożne zdecydują; zależy to przeważnie od zachowania się w tej kwestyi otoczenia, po części jednak i od siły mięśniowej dziecka.

Na zaburzenia w sferze ruchowej dziecka baczność więc należy zwracać uwagę, opóźniają się one, gdy dziecko jest wogóle słabowite, gdy przechodziło cięższe choroby, najczęściej winna jest temu znowu krzywica. Punkty oparcia mięśni—kości są w dziecku miękkie i podatne, stąd skłonność do zgięcia i wykrzywień, zwłaszcza przy krzywicy.

Najpopularniejszym i prawie jedynym znany objawem krzywicy, czyli t. zw. choroby angielskiej są właśnie t. zw. „krzywe nóżki.“ Biedne matki trapią się temi nóżkami już od urodzenia dziecka. Tymczasem jest to tylko jeden z objawów tej choroby, która jest prawdziwą plagą egipską wieku dziecinnego i najgłówniejszą przyczyną zaburzeń rozwoju fizycznego dziecka. Poznanie objawów tej choroby, łatwe i dostępne nawet dla nie lekarza, jest sprawą w pielęgnowaniu dzieci bardzo ważną, dotąd zaniedbywaną a raczej zagniewaną panującymi w tym względzie przesądami, a *panującymi* w prawdziwym tego słowa znaczeniu, ogół słucho ich bowiem tak ślepo, że wyjawienie matce po zbadaniu dziecka opinii, iż dziecko cierpi na krzywicę, spotyka się zawsze ze zdziwieniem i stereotypowym: „Ale przecież on ma proste nóżki.“ Sama ta nazwa *choroba angielska* budzi zwykle przerażenie, tak, że lekarze, wbrew ścisłości, uciekają się do określeń, w rodzaju: „dziecko ma usposobienie do choroby angielskiej,“ iż niekiedy matka z taką trwogą zapytuje, czy dziecko aby niema usposobienia do choroby angielskiej, że litościwy radca od zdrowia zdobywa się na jeszcze łagodniejsze określenie, że *mogłoby się wywiązać usposobienie do choroby angielskiej*. Tymczasem odsłanianie prawdy byłoby w tym razie najlepsze, lecz w tym celu należałoby każdej z osobna matce wygłosić wykład o rozwoju fizycznym dziecka i kto wie, czy to może nie najgłówniejsze zadanie lekarza, gdyby ogół wierzył więcej w kwestyi wychowania dzieci wynikom wiedzy i obserwacji, niż obnoszonemu z dumą doświadczeniu starszych pań, które wszak wychowały tyle a tyle dzieci. Ileż to razy opinie lekarza, iż dziecko ma krzywicę i zalecenie odpowiedniego postępowania, przyjęte z dobrą wolą w pierwszej chwili, idą w zapomnienie, dla tego, że odwiedzająca starsza pani zadecydowała stanowczo i nieodwołalnie, że dziecku nie jest. Każda matka powinnaaby wyświecić sobie tę kwestyę, gdy obecne pokolenie nabierze światłego sądu, następne przejmie to już drogą tradycyi.

Krzywica, tak powinienby ogół oświecony nazywać tę chorobę; wywalczyła ona sobie prawo obywatelstwa polskiego, wprowadziła drogą zasług, lecz spustoszeń jakie szerzy. Może wraz ze zmianą nazwy, przyjętej

oddawna w słowniku lekarskim polskim nastąpi choć częściowa zmiana pojęć i przestanie postrach szerzyć (jak nazwa choć nie polska: ekzemat mniej obecnie przstrasza, niż ów kabalistyczny ogniopiór).

Krzywica jest chorobą całego organizmu, ustrojową, rozwija się we wczesnym dzieciństwie pomiędzy 4-ym miesiącem a końcem drugiego roku, pozostawia jednak ślady na lata późniejsze. Najwięcej charakterystycznymi dla tej choroby są zmiany na kośćcu, — miękkość kości, zgrubienia żeber, zgrubienia kości rąk w pewnych miejscach, w okolicach piąstki i wykrzywienia kości nóg. Ztąd odnośna nazwa tej choroby we wszystkich językach:—krzywica, doppelte Glieder i t. d.

Krzywica rozwija się u dziecka najczęściej powoli, stopniowo, z początku występują na pierwszy plan zaburzenia w odżywianiu, osłabienie dziecka—dzieci stają się blade, ciało ich więcej wiotkie, przestają chodzić lub siedzieć, jeżeli już umiały, cierpią na zaburzenia żołądkowe i pocą się mocno, zwłaszcza na główce, tyłem główki trą o poduszki. Sen dzieci zaczyna być gorszy, przerywany, dzieci stają się wrażliwe, dużo płaczą, stają się czułe na dotyk, płaczą, gdy je matka bierze za buciaki. Występują wreszcie i charakterystyczne zmiany na kościach. U dzieci w bardzo wczesnym okresie dzieciństwa najwybitniejsze zmiany występują przy krzywicy na główce. Główka jest stosunkowo większą, wskutek wystawiania kości czołowych posiada wygląd charakterystyczny, ciemniaczko duże jest znacznie większe, niż normalnie, i zarasta później, niekiedy dopiero koło 20-go miesiąca lub nawet później. Na tyle główki porost włosów jest bardzo słaby i często kości w tem miejscu (kości potylicowe) bywają bardzo miękkie, tak, że wginają się przy dotykaniu i wydają charakterystyczny chrzęst. Jak już o tem wspominaliśmy, zęby u dzieci obciążonych krzywicą wyrzynają się późno, lub pauzy pomiędzy jedną seryą a drugą bywają bardzo długie, to znowu ząbki wyrzynają się nie parami, jak to być powinno, lecz pojedynczo, lub też kolej wyrzynania się zębów ulega zmianie. Zęby dzieci dotkniętych krzywicą, są nietrwałe, łatwo się kruszą i próchnieją. U niektórych dzieci, obciążonych krzywicą, zęby bywają jednak względnie zdrowe. Zaburzenia w wyrzynaniu się ząbków, często są powodem alarmu ze strony matek.

Charakterystyczne są również zmiany na klatce piersiowej. Jak wiadomo, żebra nie na całej przestrzeni są kostne, lecz na pewnej odległości od kości, t. zw. mostka, łączącej z przodu klatki piersiowej wszystkie żebra, są chrząstkowate. Otóż u dzieci dotkniętych krzywicą, w miejscach połączenia części kostnej i chrząstkowej żeber, występują zgrubienia.

Jeżeli przesuwając palcami po żebrach, otrzymuje się wrażenie, jakgdyby się liczyło różaniec—zgrubienia te nazywają się też „różaniem.“ Każda matka łatwo ich się może dobrać u dziecka, jeżeli ustawi rękę na piersiach dziecka z przodu, po obu stronach mostka, czyli kości środkowej, jakgdyby brała na fortepianie oktawę: po prawej stronie duży palec, po lewej — inne palce, gdy się je będzie przesunąć od góry do dołu i w kierunku poprzecznym, natrafia łatwo na owe zgru-

bienia. Stwierdzić podobne zgrubienia można daleko wcześniej, niż inne objawy krzywicy, jak zmiany na kościach rąk i nóg, i zaburzenia żąbkowania i wcześniej złemu zaradzić.

Gdy się bowiem nie zwraca na to uwagi, mogą wystąpić dość znaczne zmiany klatki piersiowej, żeberka bowiem u dzieci krzywiczych są miękkie, podatne i przy ucisku z zewnątrz, czy nawet przy ruchach wdechowych forsownych, zwłaszcza podczas zajęcia oskrzeli czy płuc, łatwo mogą wystąpić niekształcenia piersi w ten sposób, iż na klatce piersiowej dziecka widać boczne wgniecenia pod paszkami. Czasami bywają one tylko z jednej strony, najczęściej z prawej, gdyż nianki noszą zawsze dzieci na lewej ręce. Z chwilą, gdy się spostrzeże, że dziecko ma krzywicę, powinno być noszone na zmiany na jednej i na drugiej ręce, grozi to bowiem oprócz zmian na żeberkach i wykrzywieniem kręgosłupa. Jeżeli zmiany te są bardzo znaczne, klatka piersiowa dziecka dotkniętego krzywicą przedstawia się zupełnie, jak pierś kurza, przód wystaje ostro, jak dziób statku, boki są zapadnięte. Mniejsze lub większe ślady tych zmian pozostają na dalsze lata, tak, że u dziecka 8—10-letniego rozpoznać je można. Odbija się to niekorzystnie na całym rozwoju, co jest zrozumiałe, gdy pomyślimy, że klatka piersiowa zawiera tak ważne organy, jak płuca, które doznają przez to poważnych przeszkód w spełnianiu swej funkcji życiowej, nie mogą się bowiem odpowiednio rozszerzać i rozwijać. Śród dzieci systematycznie pod względem rozwoju fizycznego badanych na 52-ch chłopców w wieku od 6 ciu do 14-u lat stwierdziłem ślady krzywicy na klatce piersiowej u 13-tu. Odsetka to duża bo 25%.

(Dokończenie nastąpi).



Marya Rodziewiczówna.

Joan. VIII, 1—12. POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Zaręba rozpoczynał śledztwo. Kto zabroził, dlaczego? Dzieci powinny wszystko jeść, bo w przeciwnym razie rozdelikacują się i uczą napierania i kłótni. Matka protestowała, cytując przykład doktora, dzieci sił skarżyły, że są głodne i dostawały, o co prosiły. Że były nazajutrz chore z przejedzenia i użycia zbyt ostrych przypraw i napojów, składano winę na służbę i bonę, że za pewne dały im coś niezdrowego, lub na dktora, że leczyć nie umie.

Czas zbywający od snu i jedzenia, spędzały na zabawie. Bona musiała je zająć, żeby nie nudziły matki, która nie robiąc, była wciąż czemś zajęta.

Do pomocy w zabawie służyły stopy wek. Szafy i stoły pełne były zbytkowatek, prezentów wszystkich babek, ci kuzynów i kuzynek. Dzieci były niem przesycone, że cieszyły się zaledwie

godzin, potem niszczyły, tłukły, rozdierały i rzucały.

Gniewała się za to nieposzanowanie i swawolę pani Zarębina na piastunki i bonę, ale gdy te zabraniały dzieciom bawić się w ten sposób, dzieci podnosiły wrzask i bunt, szły na skargę do matki — i w rezultacie znowu strofowano bonę i piastunkę. Zaprowadzono tedy taki porządek: dzieci wszystko łamały i psuły, a opiekunki zniszczone zabawki uprzątały do szaf i komód.

Zarębina zaś była za leniwa, żeby zlustrować wartość tych zbiorów. Kupowano nowe zabawki z racji imienin, urodzin, świąt, gwiazdki i materyału do niszczenia i zabawy nigdy nie brakło.

Mimo wszystko dzieci ciągle się nudziły i korzystały z każdej zręczności, żeby się wyknąć do matki. Łaziły za nią, grymasiły, nudziły, skarżyły się na siebie, napierały się tysiąca rzeczy, narzekały na bonę.

Matka opędzała się od nich apatycznie, a gdy jej dokuczyły, pozbywała się ich ustęstwami, dogodzeniem fantazyom i cukierkami.

Dostawały, co chciały i ile chciały, pod warunkiem, że mamusi nudzić nie będą i pójdą się bawić do swoich apartamentów. Jednocześnie bona dostawała wymówkę, że ich zająć i zabawić nie umie — i na czas jakiś zapanowywał w domu spokój.

Ale po godzinie w dziecinnych pokojach wszczynął się ryk, płacz, wrzask piekielny.

Zarębina pomimo lenistwa biegła przerażona. Zastawała dzieci rozszlochane, rozgrymaszone, bonę w rozpacz.

— Co się stało? Co wam jest, dziateczki?

— Chciały iść do pani, nie pozwoliła. Józio mnie w rękę ukąsił, Murcio mi podał suknię. Zamknęłam drzwi na klucz — i oto, co dokazują!

— To nieprawda, Fräulein mnie uderzyła! — ryczał Józio.

— A mnie kazała w kącie stać! Jakie ona ma prawo!

— Jakto? Pani ośmiela się uderzyć dziecko? Tego stanowczo zabraniam. I za co? Że chciały do mnie przyjść — do matki. To przewinienie! Za to pani je karze? No, dzieci, cicho, cicho już! Nie płaczcie! No, chodźcie do mamusi! Kochacie swoją mamusię?

Dzieci chlipiąc, rzucały jej się na szyję. Całowała je, tuliła w uściskach, prowadziła ze sobą na czekoladki.

Maniusię, jeśli możliwe, jeszcze więcej kochano i dogadzano jej, bo była „panienką“ i „dziewczynką“. Literalnie chowano ją, jak kolibra.

— Zobaczysz, będzie śliczna! — zdecydowały ciotki i babki zaraz po urodzeniu, gdy była bezkształtną bryłą mięsa, z wielką łysą głową, bez rysów, bez zębów, bez brwi.

— Będzie śliczna! — powtarzano, strojąc ją w jedwab i koronki, w gazy i batysty.

— Jest śliczna! Co za oczki, co za nosek, jakie włosy! Jaka to już czarująca, mała kobietka!

Zachwycano się, całowano, fotografowano.

— Śliczna dziewczynka! — słyszała wkoło siebie, gdy tylko słyszeć zaczęła.

I wcześniej zaczęła się edukacja.

— Maniusiu, trzeba włożyć kapelusik, bo to brzydko, jak dziewczynka zwichrzy włoski

i opali buzię! Maniusiu, nie biegaj tak głośno, to nie wypada dziewczynce! Maniusiu, dygnij ładnie, jak dziewczynka. Maniusiu, nie można krzyczeć i śmiać się głośno dziewczynce! To brzydko! Nie można tarzać się po trawie i bić się z chłopcami. Maniusia dziewczynka! Jak Manusia będzie grzeczna, to dostanie ładną sukienkę i wyjdzie do gości.

Tą obietnicą kupowano zawsze uległość i grzeczność.

Manusia lubiła być pokazywaną. Wtedy rozpuszczano jej złote włosy w lokach na ramiona, ubierano białe lub niebieskie i wyprowadzano do salonu. Goście zachwycali się i unosili nad jej urodą, wzrostem, wdziękiem, rozumem — dawali zabawki i łakocie. Dziecko czuło się bardzo wielką osobą. Istotnie, była w domu na osobnych prawach.

Chłopcy, którzy sobie nie z nikogo i niczego nie robili, musieli jej ustępować, „bo ona dziewczynka“, ona słaba, delikatna, z nią trzeba uważnie się bawić, nie wolno szturchać, gonić, bo się może zmęczyć, przestraszyć. Na tym punkcie wszyscy się zgadzali na jedno, i na jedno słowo skargi, na jeden pisk Maniusi, byli chłopcy karani bez apelacji. Wcześniej też się nauczyli okazywać jej powierzchowną opiekę i względy, a nazywać lekceważąco: „babą“. Była bojaźliwą, kapryśną, niedołązną, próżną i łakomą. Płakała o byle co, nudziła się ciągle i wbrew wielkiej pieczołowitości, prawie nieustannie była chora, i wbrew wielkiemu umiłowaniu, którego była przedmiotem, ona nie kochała nikogo, a przeciwnie miała antypaty.

Nie lubiła starej Jankowskiej, bo ta ją ciągle musztrowała, nie lubiła doktora, bo z niej żartował, a już nadewszystko nie cierpiała „wujka Bolka“. Tę antypatyę dzieliła z braćmi.

Wuj Bolek, stryjeczny brat Zarębiny — zjeżdżał do nich co rok na wakacje. Był kulawy, miał wielkie krzaczaste brwi i z pod nich patrzył na dzieci wzrokiem Heroda.

Zarębowie skakali koło „wujaszka“. Był to stary kawaler i kapitalista. Zrobił fundusz gdzieś na granicy Chin, żywot miał bardzo burzliwy, teraz osiadł w Warszawie, i jak sam o sobie mówił:

— Napracowałem się — teraz będę patrzeć i rozmyślać!

I rzeczywiście nie robił, tylko jak Zaręba dowodził: „pastwił się“ nad wszystkimi.

Nad temi co chcieli od niego pożyczki, nad rodziną, która go chciała opłacać i otoczyć opieką, nad matkami, które go chciały za zięcia, nad młodemi kobietami, które go chciały za męża, nad przyjaciółmi i kolegami, którzy go chcieli naciągnąć.

„Wuj Bolcio“ był na wszystkie napaści „w stal zakuty“, przeciw wszelkim upojeniom i jadom „zaszczepiony“. Nie go się nie brało!

Dzieciom Zarębów wydawał się bardzo stary, ale w rzeczywistości, gdy zaczął spędzać u nich wakacje, miał lat czterdzieści, był łysy i trochę na nogę utykał. Zarębina nazywała go poufnie „le diable boiteux“ i w duchu bardzo nie lubiła za otwarty wstręt i niechęć, jaką objawiał dla jej dzieci.

Pomimo tego spędzał u nich co rok parę letnich miesięcy i miał swój pokój. Jeśli czego dzieci się bały, to groźby, że ich zamkną do pokoju wujka Bolka. Stara Jankowska opo-

wiała o nim niestworzone rzeczy umyślnie, żeby tę groźbę utrzymać.

Gdy wuj Bolek przyjeżdżał, pytał na wstępie Zarębiny:

— No cóż, „kanary“ twoje jeszcze żyją wszystkie?

— Ależ Bolku! — protestowała z bolesną obrazą.

— Osobliwość, jaki jednakże organizm ludzki jest odporny. Trujesz ich systematycznie i żyją! A jeszcze was z domu nie wypędziły?

— No, no! Bądź spokojny. Tak źle nie będzie!

— Jeszcze parę lat czasu!

Prezentacyi dzieci nie bywało. Gdy się zgromadzano na obiad, wuj spoglądał na nie wzrokiem ludożercy, nie trudził się przemówić, a gdy go witały, nadstawiał do pocałunków łokieć.

Obecność jego działała mroząco. Z początku dzieci nie śmiały się odezwać, potem szeptały, zezując na niego, a gdy się oswoiły i rozpoczynały zwykłe swary, napierania i grymasy, wystarczało, żeby na nie spojrzeć, aby oniemiały.

Niecierpiał go też serdecznie i starały spotykać jak najrzadziej. Wuj ze swojej strony tak je ignorował, że chłopców nawet nie rozpoznawał jednego od drugiego, a spotkawszy przed gankiem Maniusię, zdawał się jej nie spostrzegać.

Bolało to Zarębinę.

— Właściwie Bolku, co ty czujesz do moich dzieci? — spytała go raz, korzystając, że był w dobrym humorze i zdawał się łaskawiej na nie patrzeć.

Siedzieli przy czarnej kawie na ogrodowym ganku, a dzieci bawiły się opodal z boną.

— Jakto? co czuję? Przedewszystkiem li-

tość.

— Dlaczego?

— Ano, że mają taką matkę.

— Ach, więc ja jestem złą!

— Tyle masz talentu na matkę, ile ja na ojca.

— No, w to wierzę! — roześmiała się. — Ale po za tą litością, nie obdarzasz ich zbytnią sympatją?

— A za co? Poczekam z tem. Teraz są w wieku, w którym dzieci wszystkie uchodzą za bardzo mądre i za bardzo piękne. Że zaś świat dorosłych składa się przeważnie z głupców i brzydali — poczekam z zachwytami, aż twoje kanary ziszczą pokładane w nich nadzieje. Przysięgam ci najuroczyściej, że jeśli za kilkanaście lat będą wyjątkiem z ogólnej pospolitości — czynię je swemi spadkobiercami. Co więcej możesz żądać?

— Żądam, żebyś je lubił choć trochę.

— Aha! Tobie się zdaje, że ty je lubisz!

— Zdaje mi się, że daję tego dość dowodów! Żyję tylko dla nich i niemi!

— To szkoda! Ja bo żyję tylko dla siebie i bardzo mi z tem dobrze.

— Poczekaj, jeszcze cię wyswatamy. Będziesz jeszcze i ty żyć dla kogoś i dopiero poznasz szczęście. Twoje życie — to nie życie! To egoizm!

— A wyście te kanary wyprodukowali przez umartwienie, ofiarę i poświęcenie! Słuchaj, nie praw głupstw i nie czyni z siebie bohaterki. Bawicie się w męża i żonę, potem

w ojca i matkę, bawicie się dziećmi. Otóż ja wolę się bawić w inne gry i jeżeli jestem egoista, to szeszery.

— Żeby wszyscy ludzie uchylali się od obowiązków, cóżby się stało ze światem i ludzkością?

— Co? Byłoby lepsze powietrze, większa cisza i mniej tłoku! Bądź spokojna—świat by istniał bez twojej pracy dla ludzkości — w formie trojga cherlaków, próżniaków i kapryśników!

— Nie rozumiem, co ty masz do moich za szczególne uprzedzenie. Nie są inne, jak wszystkie dzieci!

— Właśnie. Imię im legion! Ani twoje teorie, ani twoja praca dla ludzkości nie jest czemś szczególnie trudnem i wymagającym zachęty i pochwały. Ergo — nie żądaj moich zachwyty!

— Jesteś ohydny cynik!

Tem zdaniem z dodatkiem klapsa kończyły się podobne rozmowy. Pani Teresa za mało myślała, a za bardzo była leniwa, żeby móżdż i chcieć dysputować.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Trzy Pieśni.



Wzięliśmy dusze nasze rozkochane, czyste
I zapatrzone w siebie oczyma smutnemi,
Rozsnuliśmy je w struny kryształne, przejrzyste,
Ramiona złotej harfy trzykroć łącząc niemi.

A za dotknięciem każdym twojej lub mojej dłoni
Te struny drżą i łzami perłowemi płaczą,
Harfa złota cudniejsza coraz dźwięki roni,
Nad dolą serc samotnych żali się tulaczą.

To znów tęczą różanych świtów rozświetlona,
Promiennych snów przed nami rozsnuwa spowicie —
Jednem technieniem falują upojone lona
I dzwoni pieśń nad pieśnią—Pieśń-szczęście, Pieśń-życie!

Różami uczuć wonna, cicha, czarem tętnąca,
Jak biały anioł, płynie po gwiazdzistym morzu,
Na z nieb idący welon srebrnego miesiąca
Lekkiemi stopy wchodzi i tonie w przestworzu.

Zmilkła. Już z cichym szmerem nieznanej harmonii
Smutna, drżąca, niepewna pieśń się w harfie rodzi,
Coraz silniej i głośniejsze dźwięki za dźwiękiem goni,
W żalosnych skarg bezbrzeżnej łącząc się powodzi.

Boleść bez dna, bez granic — olbrzymią lawnicą
Świat cały. Jakież nad nim zawisło przekleństwo?
Zkąd tyle łez, krwi tyle płynie nawałnicą?
— To złota harfa dzwoni Pieśń-ból, Pieśń-męczeństwo!

Padł grom, ryknęły groźnie podartych chmur gardła,
W piekielny tan runęły orgie burz z swych tronów,
Ogromna moc z potęgą wieczną zła się zwarła,
Bałwany mórz, jak huk pogrzebny, jęczą dzwonów.

Chaos! Walka żywiołów straszna, rozpasana,
Wir, zamęt, mord i groza aż po świata końce...
I oto, podźwignięte ramieniem tytana,
Nad głębią krwii nabrzmiałe uniosło się Słońce!

Tryumf!... Dokola płoną wiar dawnych ołtarze,
Nad przemocą objęło panowanie męztwo,

Blask nadziei pobladłe opromienia twarze,
To złota harfa dzwoni Pieśń-bój, Pieśń-zwycięstwo!

Zmilknięcie kryształowe struny naszej duszy
I brylantowym pyłem rozwieście się w ciszy,
Pieśni raz wypiewanej nie już nie zagłuszy,
Każde serce ją znajdzie, każdy duch usłyszy.

Długo ty, Pieśni, będziesz między ludźmi błądzić,
Słowom może nie znana, lecz sercu rodzona,
Nie jedną myślą będziesz ty wszechwładnie rządzić,
W bólu pragnień poczęta, w snach tęsknoty śniona.

Stało się! Wypiewanej pieśni nie nie zgłuszy,
Pieśni, przez którą jeszcze przed wiekami żyłem —
Zmilknięcie kryształowe struny naszej duszy
I brylantowym w ciszy rozwieście się pyłem.

Ziemowit Gliński.



WYKSZTAŁCENIE KOBIET.

PRZEZ

Katarzynę Dolbear,

tłumaczyła

ANNA GRUDZIŃSKA.



Gdyby kobiety wierzyły same mocno i stanowczo w równość swą z mężczyzną, pod względem intelektualnym — nie potrzebowałyby tracić połowy życia i siły, na przekonywanie ich i siebie, o tej wielkiej prawdzie, wobec czego zyskałaby rodzina, dom i otoczenie i wobec czego ideały edukacyjne kobiety, dałyby się znacznie podnieść i rozszerzyć.

Dzisiaj może się wydawać, że kobiety pragną wywalczyć sobie naczelne stanowisko w wszechświecie, usunąć mężczyzn na plan drugi, zamiast iść ręką w rękę — wspólną drogą pracy i pożytku, zamiast piąć się na stanowiska i dążenia do zawodów — często niezgodnych z ich uzdolnieniem i wewnętrznym przekonaniem.

Nie pragnę dowodzić, czy i o ile kobiety mogą spełniać każde obowiązki, zajmować każdą posadę — zajmowaną dotąd wyłącznie przez mężczyzn, ograniczę się na rozpatrzeniu kwestyi wykształcenia kobiet, z punktu biologicznego.

Trudno zaprzeczyć, że sama natura stworzyła kobietę na matkę, bez wyjątków i różnic i jeżeli wykształcenie jej ma być owocem i pełnem ze względu moralności, jeżeli ma odpowiadać potrzebom umysłowym i fizycznym — wykonać swą wielką misję społeczną, nałożoną na nią przez naturę — należy ją wychować na umiejętną gospodynię i rozumną matkę. Takie wykształcenie wymaga wiele pracy i nauki, wiele umiejętności różnorodnej i wszechstronnej i w zupełności odpowiada akademickiemu stopniowi. Przez długie szeregi wieków kobieta była zadowolona z roli, jaką jej natura wyznaczyła, wiek ubiegły wywołał zwrot ogromny, w jej zapatrywaniu i na pierwszy plan wysunął to, co jest nienaturalne, sztuczne.

Zwykle życie uniwersyteckie, nie może

uchodzić za zdrowe i higieniczne, nawet dla mężczyzny, a cóż dopiero dla kobiety, która pracuje zwykle usilniej i traci w ten sposób, ogromny zasób zdrowia, powierzonego jej, nie dla egoistycznych, osobistych jej celów, a dla dobra ludzkości. Setki kobiet udaje się na uniwersytet, nie dla rzeczywistej potrzeby i korzyści, lecz dla mody, daje im to poczucie wyższości swej, dogadza próżności, choć w istocie zdolności ku takiej pracy nie posiadają. Po strawieniu lat kilku na studiowaniu greckiego, łaciny, matematyki, studentka otrzymuje stopień i wychodzi w świat. Co pocznie obecnie? Co właściwie pragnie i może czynić?

Zdaje się, że ogół, przedewszystkiem pragnie swobody i możności dogodzenia sobie w poczuciu zupełnej niezależności. Najłatwiej dałoby się to uskutecznić, gdyby można było odnaleźć stosowne miejsca nauczycielek, ale na to potrzeba gruntownej znajomości języków, a potem, skończone kandydatki okazują nieprzewidywany wstręt do nauczania dzieci — nie, tylko katedra profesorska, może zadowolić wysokie wymagania, skończonej kandydatki.

Nawet dziewczęta, lubiące poprzednio gospodarstwo i zajęcia domowe, uważają sobie za ujmę pójść do kuchni, posprzątać, pozmywać szklanki lub talerze — jakże mogą się zajmować tak prostymi rzeczami, przez ten czas łacina lub grecki wywietrzeje z głowy!

Zdawałoby się, że życie uniwersyteckie, czyni kobietę dzisiejszą, niezdolną do jakiegobądź zajęcia i stanowiska praktycznego. Podam tu krótki rys wychowania kobiety, pomiędzy 14-ym a 23-im rokiem, które mogłoby jej dać zupełnie inne pojęcie o obowiązkach, potrzebach i przyjemnościach życia.

W 14-ym roku, mamy dziewczę niezgrabne, duże, lęдлиwe, niespokojne, bojące się odezwać w towarzystwie starszych, pragnące pięknego i starannego stroju, ogromnie dbałe o to, co inni o niem powiedzą, łatwo zadowolone, rozbawione, łatwo obrażone i boleśnie dotknięte, szczęśliwe i smutne na przemian. Nie znosi długiego zajęcia się czemkolwiek, prędko się zapala, prędko stygnie, prędko przestaje się interesować danym przedmiotem.

Jak się mamy zachować, by pomódz dziewczęciu w tym trudnym okresie życia?

W collegium, na uniwersytecie, czas jej płynie na studiowaniu starożytnych języków, algebry, historii i t. d. Jeżeli nie posiada dobrej pamięci i zdolności matematycznych, czas ten jest stracony, przedmioty wydają się nudne i bez interesu. Nienawidzi łaciny, algebra ją nuży. Boi się historii i nosi z sobą notatnik, w którym wertuje nawet przy śniadaniu, żeby kuć podczas jedzenia. Kiedy nadchodzi chwila w której ma w klasie retoryki, wygłosić mowę, jeść nie może, pędzi zgorączkowana do collegium, ma szalony ból głowy, nie jest w stanie uważać na wykład, cała jej uwaga, cała jej istota, zwraca się ku tej jednej chwili — wreszcie nadchodzi. Serce bije z trudnością, oddech staje się ciężki — wszyscy przechodzą do sali prelekcyjnej, wszystko ciemnieje przed oczami, w uszach szumi i dzwoni; kilka nazwisk, kilka podniesionych głosów, wreszcie słyszy wyraźnie swoje własne. W jakiś sposób dostaje się na

podwyższenie, stoi na katedrze, siłą woli opanowuje się, wygłasza mowę i — z ogromnem uczuciem ulgi, wraca na dawne miejsce, jest jednak tak wyczerpana, że przez dzień cały ani pracować, ani myśli skupić nie może.

Przykład ten, należy zapewne do rzadkich, sądzę jednak, że gdyby wiedziano, jakie są uczucia wielu dziewcząt, przed tego rodzaju publicznymi występami, fakt powyższy nie byłby wcale odosobniony. Powstaje pytanie, czy takie wstrząśnienia nie muszą być szkodliwe na system nerwowy dziewczęcia? Czy i fizycznie nie oddziałują źle? A jeżeli tak jest, to stanowczo miejsca mieć nie powinny. Są jednak i takie, które lubią się popisywać wymową i czekają z upragnieniem, swej kolei — dla tych możność wykazania swych zdolności, nie jest szkodliwą i powinna istnieć. Mojem zdaniem, wszelkie występy, mowy publiczne obrony, sprawy, są szkodliwe dla dziewcząt nerwowych i poczuwających się do pewnej lekkości i zamiast zwalczyć to uczucie, wzmagają je jeszcze.

Zamiast posyłać taką dziewczynkę na kursa, pozwólmy jej pogospodarować trochę. Niech pójdzie do kuchni. Zapewne chętnie zrobi ciastka lub leguminę, następnie nabierze ochoty, do spróbowania swych sił na esencjonalniejszych potrawach. W ten sposób, zupełnie naturalnie i bez wysiłku, wciągnie się do pracy. Należy uważać, by na początek robiła tylko to, co się uda i da dobry rezultat, nie szczędząc pochwały i zachęty. Każda nieudana próba zniechęca, a dręczenie i dokuczanie wywołuje płacz i postanowienie nie powtarzania tego rodzaju przeżyć.

Gdyby kwestya gotowania, była we właściwym świetle przedstawiona, zrozumiałyby nasze dziewczęta, że zdrowie i zadowolenie ludzkości, w ogromnej mierze od tego zależy i chętnie i gorliwie do kuchni by się zabrały. Najczęściej sami rodzice są winni, że dzieci z niewłaściwej strony rzecz tę pojmują.

W jednej ze szkół wyższych w Massachusetts kursa kulinarne były dowolne i źle prowadzone. Nauczycielka biologii, starała się wytłómaczyć wszystkim dziewczętom, a było ich 600, że każdej z nich domowe, praktyczne zajęcia, mogą być potrzebne, ale spotkała się z ogólną niechęcią. Niektóre, podawały ciekawe powody swego wstępu, — zauważyć należy, że tylko najinteligentniejsze z nich, okazały chęć uczenia się gotowania i zajęcia się domem; — jedne twierdziły, że mają i tak tyle pracy, że podjąć jej nie mogą, inne odkładały naukę, na rok następny — jedna z uczennic, dziecko biednych rodziców, odezwała się bardzo jasno i stanowczo: „Nie potrzebuję się uczyć takich prostych rzeczy, nie będę przecież sługą, a jeżeli wyjdę za mąż, będę miała zawsze kogoś, co to robi.“ Matka tej panienci pracowała sama ciężko i wyrobiła w córce przekonanie, że ona przynajmniej, posiadając wyższe wykształcenie, powinna i musi uniknąć podobnego losu. Zapewne tylko wpływ matki, wyrobił w niej tę niechęć.

Języki nowożytnie, o ile dziewczę uczyło się poprzednio, co jest niezmiernie szczęśliwie, powinny być prowadzone dalej, jeżeli nie, rozpoczęte obecnie. Botanika i zoologia

przedstawia zupełnie nowy, nieznany interes, jeżeli jest żywo i barwnie wykładana. Jeżeli są zdolności muzyczne, należy je podtrzymać, muzyka pozwala wyrazić uczucia subtelne i nieuchwytne, dziewczęcego serca, koi, uspokaja, wówczas gdy się jest w rozterce ze światem. Taniec jest ważnym czynnikiem w wychowaniu kobiety. Odpowiada nie tylko wrodzonemu poczuciu rytmiki, ale daje towarzyską swobodę, wyrabia zręczność, umiejętność towarzyskiej pogawędki. Jest wiele dziewcząt, które wprost namiętnie lubią tańczyć i doprowadzają to uczucie niemal do manii — jest to bezwątpienia złe, ale trzymanie ich zdala od zabaw i rozrywek, nie tylko korzystnie nie wpłynie, ale potrzebę tę zwiększy. Z tego powodu regularne wprowadzenie nauki tańca do programu wychowawczego na równi z nauką języków, gotowania, muzyki — zapobiegłoby wszelkiej przesadzie. Rysunki i malarstwo, powinny być także zastosowane, a przy tem harmonia barw i cieni.

Niech młoda dziewczyna towarzyszy swej matce w wędrowce po sklepach, niechaj wypowiedzie zdanie o wyborze obić, firanek, dywanów, a szczególnie w wyborze własnych sukien. Jest to chwila budzącego się interesu we własnym przybraniu, należy ją wyzyskać i nauczyć, w jaki sposób gustownie i *tanio* ubrać się można. Powinna też pomagać przy szyciu sukien, choć mowy być nie może o uszyciu choćby bluzki, idzie tylko o zachęcenie do tego praktycznego zajęcia.

Jedną z najważniejszych rzeczy, w tym okresie, to danie obfitej rozrywki na świeżem powietrzu, ruchu, spacerów, gier. Spacer powinien być długi i celowy, połączony z pogadanką z dziedziny przyrody, zakończony odpoczynkiem, w możliwie pięknym i estetycznym ustroniu. Latem wiosłowanie, zimą ślizgawka.

W 15-ym roku dziewczęta stają się spokojniejsze, s wobodniejsze, szyją z przyjemnością godzinami, uprawiają chętnie muzykę, szczególnie do tańca, aby być użytecznymi w towarzystwie; lubią tańczyć i pragną być dorosłymi, by móc brać udział w ogólnej zabawie.

Jest to wiek, w którym dziewczę rozumie swoją doniosłość, zna swą wartość — pragnie mieć *osobiste* książki, ubranie, szatę, pokój, chce wybierać ubiór i przedmioty dla siebie, szuka sobie ulubieńców. Sama więc natura wskazuje, czego jej trzeba i należy jej to wszystko dać koniecznie: niech ma swój pokój, swoich ulubieńców i książki, niech wybiera dla siebie materiały, kapelusze, niech utrzymuje porządek w swoim pokoju: zamiat, sprząta, myje okna i drzwi, podlewa kwiaty; niechaj gotuje i piecze, o ile chce i co chce, niechaj ma pewien ulubiony wydział w domu, coś, co robi lepiej, aniżeli ktokolwiek inny.

Trzeba ją nauczyć cerować i reperować, ażeby mogła utrzymać rzecz każdą w porządku.

Trzeba ją obznajmić z kwestyami fizyologicznej natury, ze szczególnem uwzględnieniem higieny, a także zaznajomić ją z bakteryami, rdzami i pleśnią. Praktyczna fizyologia, to rzecz największej wagi i młoda dzie-

wczyna musi się nauczyć umieć dbać o własne i innych zdrowie, musi to zrozumieć, że największem zadaniem jej w życiu jest być silną i zdrową, pracować o tyle tylko i tyle, by nie być zmęczoną; pilnować punktualnego pożywienia, chodzenia spać, wstawania, pracy i nauki; starać się o dużo ruchu i rozrywki po za domem; mieć dużo szerszych interesów i poglądów, to wtedy własne jej małe niezadowolenia, przykrości i zawody, wydadzą jej się błahe i drobne.

(Dokończenie nastąpi).



Jan Łada.

PIÓREM I OŁÓWKIEM.



(Ciąg dalszy).

Poza klasztorem otwierają się szerokie gościńce, rwące wśród łąk zawsze zielonych, zasianych na wiosnę bujnem, pachnącem kwieciem. W Maju i Czerwcu pola całe czerwone są i białe od róż, których łany otaczają miasto, w gajach złocą się pomarańcze i cytryny, a od ciemnej zieleni laurów, fig i rododendronów odbijają szarawe oliwne gąszcz Brzezi gościńca zasadzone olbrzymiami, mięsistymi agawami, których ostrokolezaste liście tworzą wysokie, nieprzebyte w swych splątaniach żywopłoty. Tu i owdzie wychyla się z zieleni jakaś niska ferma, z której, leżąc leniwie w trawie, parę dzieciaków przygląda mi się ciekawie, nie myśląc jednak wcale o wybieganiu naprzeciw mnie z wrzaskliwym i natrętnym upominaniem się o jałmużnę, jak to czynią wszystkie włoskie dzieciaki, ani tem mniej o rzucaniu na podróżnego potokiem przekleństw i zniewag w razie zawodu.

Po prawej stronie, wśród rozłożystych drzew, skręca ku morzu gościńiec, przesuwając się wężykiem u stóp wyniosłego wzgórza, z którego sterczą wysoko nad miastem mury nowej, naprawdę zaś wcale starej, bo kilkunastokrotnej fortecy. Dalej droga prowadzi wysoko nad malowniczym morskim wybrzeżem, zakręcając się tu w półkole naprzeciw wyspy Lazaretowej, potem zaś zmienia się w uliczkę przedmieścia Mandukio, tak brudnego i z takich złożonego lepiarek i istnie cygańskich szatr, jakich się nie spotyka nawet w żydowskich miasteczkach galicyjskich. Wśród tych ruder widzę naraz długi biały mur przecięty otwartą arkadą, po nad którą piętrzy się ku niebu kilku kondygnacyami lekka, włoska wieżyczka. Za arkadą idą w górę szerokie wschody, nieprzykryte, obramowane z obu stron murem, na którym bardzo malowniczo zielenią w wazonach i po za nim w gruncie rosnące palmy, ananasy i tamaryndy. W górze zabudowany dziedzińczyk i cerkiewka bardzo mała i brudna. Pytam, czy klasztor, ale nie mogę się dopytać. Kręci się wprawdzie i wrzeszczy biegając po dziedzińcu i po cerkwi gromadka dzieciaków, ale żadne nie rozumie po włosku (w mieście rozumiałby każdy), a moja greczyzna w ogóle, zaś nowogreczyzna w szczególe, nie sięga tak

daleko, abym mógł rozumieć tych młodych mieszkańców Mandukio. Zdaje się jednak, że to nie grecki klasztor, ale jakiś świecki zakład, zapewne w po-klasztornym budynku. Jeśli jednak to zakład wychowawczy, a otaczający mnie chłopcy są jego wychowankami, nie zazdroszczę im wychowania i nie winszuję wychowawcom ich metody pedagogicznej. Zdaliby się tu Salezianie, a takie ładne mieliby ramy dla swego zakładu w tych malowniczych, zielenią obrosłych murach.

Ztąd już tylko krok do żydowskiej dzielnicy, ciasnej, czarnej, ale bardzo ruchliwej i pod ubogiemi pozorami zamożnej. Żydzi tak licznie rozrzućeni po całym Wschodzie, nie potrafili dotąd i nigdy zapewne nie potrafią usadowić się ani w Grecyi, ani na wyspach Archipelagu. Przedsiębiorczość, obrotowość i spryt handlowy Greków, czyniły konkurencję nawet dla Żydów, mistrzów w przebiegłości i szacherce, niemożliwą, a na sztuczki żydowskie, używane z powodzeniem przeciw konkurencji Słowian, a nawet Niemców, Grek złapać się nie dał. Tylko specjalnie wśród niezaradnie i bezgranicznie leniwych Korfiotów, Żyd czuje grunt pod nogami. Znaczna część handlu jest też w żydowskich rękach, a oczywiście uczciwość obrotów handlowych i wartość towarów na tem nie zyskuje.

Żydzi nie używają tu osobnego stroju, jak w Turcyi. Kobiety tylko na szabas lubią się obwieszać jaskrawemi ozdobami i mnóstwem klejnotów i świecideł jubilerskich. W młodości bywają ładne, ale w kraju, posiadającym tak piękny typ kobiety, jak Korfu, gdzie istotnie młodzież obojga płci przypomina nie raz profile starożytnych kamei lub posągów, nie zwraca to uwagi. W starości zaś Żydówka staje się albo potworną czarownicą, gdy wyschnie, albo też gdy się roztyje, staje się nierównie wstrętniejszą. Greczynek podobnie opasłych, a zwłaszcza tak obrzydliwych, nie spotyka się.

Z drugiej strony miasta, po za przedmieściem Castrades, leży nad morzem w głębi obszernego parku pałacyk Montrepos, niegdyś letnia rezydencja angielskich wicekrólów, obecnie własność królewska. Ale król Jerzy widocznie nie lubi przebywać na Korfu. Istotnie park robi wprost przykre wrażenie. Jest on cudnie położony na wzgórzu, panującym po nad szeroką przestrzenią morza i sam jest bardzo piękny. Najrzadsze i najwspanialsze rośliny południa rozrzucone są w malowniczych klombach z jednej strony parku, podczas gdy z drugiej od północy, angielski ogrodnik, czy może sam właściciel, pozbierał okazy flory z chłodniejszych sfer — a delikatniejsza zieleność tych ostatnich, efektownie odbija od lśniących liści pomarańczowych, od wachlarzowatych palm i szerokolistnych bananów. Z prawdziwym zmysłem artystycznym zarysowane są też klomby i aleje, a pomiędzy niemi poprzecinane widoki na morze. Ale w jakimże to wszystko stanie! Trawniki z pewnością nie koszone od wyjścia Anglików z Korfu, pewnie od tegoż czasu nie gracowane ulice, na pierwszych całe gaje wysokich chwastów i dzikiego zielska, na drugich deszcze zimowe wyżłobiły głębokie rowy, a na tych znów bujnie na wiosnę rozkrzewiła się polna roślinność. Nie park to

już, ale las. Tylko ugrupowanie drzew wskazuje, że to nie miał być las, że nad temi drzewami długo pracowała myśl i ręka człowieka, tylko, że z pod dzikich traw i chwastów przedzierają się resztki rzadkich, zdzieczalonych już także krzewów i kwiatów, które w tym cudnym klimacie i na tym błogosławionym gruncie rosną jeszcze dotąd, choć o nie nikt nie dba. I robi się żal tej pracy, tej myśli i robi się wstyd za tych ludzi, którzy takiemu cacku natury i sztuki pozwalają marnieć przez niedbalstwo i skąpstwo. Wstyd tem większy, że, choć rzadko, bywa tu przecie i król, i jego rodzina, że nawet za parę tygodni zapowiedziany jest przyjazd królewskiej pary, dla której oczyszczono z prochów apartamentu tu i w zamku; ale nikt nie pomyślał o oczyszczeniu i przygotowaniu tego ślicznego parku, i nikt tu nie wyrwał ani gałązki chwastu, nikt nie zasadził ani jednego kwiatka.

Sam pałacyk mały, bez stylu, ale czysty i widocznie na przyjęcie właścicieli wyświężony, robi wrażenie willi zamiejskiej średnio zamożnego przemysłowca lub bankiera. W dole znajduje się przystań, przeznaczona dla dworskich jachtów, a zrobiona podobno kosztem cesarza Aleksandra II-go, który miał tu przybyć na kurację w ostatniej chorobie, zanim lekarze wyprowadzili go do Nizy.

W pobliżu Monrepos znajduje się posiadłość, dzierżawiona przez mego znajomego, do którego wstępujemy po drodze, wraz z towarzyszem wycieczki. Pan Bagge jest malarzem, który w charakterze ilustratora i korespondenta kilku dzienników odbył całą kampanię grecko-turecką. Będąc chorym na płuca, zmuszony jest do pobytu na Korfu, ale nie chce czasu tracić, na spółkę więc z jakimś Berlińczykiem zajął się obszernem, i jak sądzę, dobrze pomyślanem przedsiębiorstwem. Jednym z charakterystycznych dowodów niezaradności i lenistwa Korfiotów jest fakt, że ani w drobnej części nie potrafili wyzyskać niesłychanie korzystnych warunków, w jakich znajduje się wyspa dla intensywnego gospodarstwa ogrodniczego. Przy łatwości komunikacji morskiej z Tryestem, nadzwyczaj żyznej ziemi i jednostajnym łagodnym klimacie, łatwoby przyszło całą wyspę zamienić w jeden ogród, bardzo rentowny, a dający się w każdej piędzi ziemi zużytkować. Korfu stałoby się w takim razie śpichlerzem jarzyn i owoców dla trzeciej części Europy. Tymczasem, cóż się dzieje? Oto niektóre jarzyny, np. szparagi nie są uprawiane, inne zaś znajdują się tylko w lichych gatunkach i nie mają dla eksportu wartości. Owóz mój Duńczyk wraz ze swym współnikiem postanowili założyć na wielką skalę plantację wyborowych jarzyn, a przedewszystkiem nowalii, dla rynku jarzynowego w Tryescie i właśnie teraz rozpoczęli roboty.

Bagge jest jednym z najmiłszych ludzi, jakich znam. Łączy się w nim właściwa Skandynawom delikatność uczuć i wykwinność form z wesołością i swobodą artysty, pełnego werwy i temperamentu. Opowiada mi mnóstwo ciekawych szczegółów z kampanii, w której brał udział. Tchórzostwo Greków, a zwłaszcza greckich oficerów, miało być niesłychane. Wojsko uciekało w popłochu nie przed Turkami, ale przed zającem, który prze-

mknął się i zaszeleścił w trawie, nie przed alarmem, ale przed cieniem, przed przypuszczeniem alarmu. Niezmiernie komiczny epizod zdarzył się w jednej z takich ucieczek. Oficerowie, nie chcąc być poznani jako tacy, aby nie narazić się na gorszy traktament ze strony baszybuzuków, porzucali z siebie w biegu i pochowali w zaroślach pałasze, czaka, mundury, a wreszcie i ubranie, które przyzwoitość nakazuje nosić, ale zabrania surowo nazywać. W ten sposób do głównej kwatery, gdzie znajdował się następca tronu, dobiegli wyłącznie *in albis*, a jak złośliwi twierdzą, nawet nie *in albis*, ale całkiem tak, jak Imci Pan chorąży orszański Kmicie puszczał po śniegu rajtarów z Zamościa, po orznięciu ich przystojnie batożkami. Na domiar wszystkiego, Turcy nie gonili wcale szybko-nogich potomków Temistoklesa, bo ich w tej stronie wcale nie było.

Za posiadłością p. Bagge droga idzie wśród istnych gajów róż, które zaczynają dopiero rozkwitać i których wielkie pęki ofiarują nam dzieci, gromadami tutaj czatujące na podróży, ale wesołe i grzeczne. Wraz z moim towarzyszem, solidnym Belgijczykiem, wolimy kupować pomarańcze. Tymczasem po jednej stronie podnosi się coraz wyżej zielony stok wzgórza Analypsis, z drugiej zaczynają świecić szkliste, nieruchome smugi cichego jeziora Kalikiopulo, łączącego się z morzem przy Canone, do którego dochodzimy.

Widok tu cudny poprostu, obok tego, jaki się roztacza z tarasów Achilleionu, najpiękniejszy na Korfu. Brzeg wyspy tworzy tu wysoki, w morze wchodzący cypel, za którym z przeciwnej strony cieśniny morskiej wznoszą się w sinej mgłę wysokie górskie szczyty tamtego brzegu. Na prawo otwiera się jezioro podobne do zwierciadła, tak żadna zmarszczka nie przedziela wodnej powierzchni, ani jej żaden wietrzyk nie kołysze. Z przeciwnej strony morze ciemniejsze, matowe, dziś właśnie trochę niespokojne, porusza się widocznie i szumi, a ten kontrast dwóch wodnych płaszczyzn, połączonych cieśniną, dziwnie jest oryginalny i ciekawy.

Od zewnętrznej strony wyspy na ciemnym szafirze morza, czernieje parę wysepek. Jedna z nich zwłaszcza, śliczna, cała zarosła staremi cyprysami, wygląda jak koszyk ciemnej zieleni, z po za której bieleją jakieś zabudowania. Jest to Pontikonisi, czyli Mysia wyspa, wedle fantastycznego podania skamieniały okręt Odysseusza, który tu miał się rozbić i ku brzegom Analypsis dopłynął. Wysepkę zamieszkuje kilku mnichów, których klasztor jest tam jedyną ludzką siedzibą. Ślicznie tu, bardzo uroczno i byłoby bardzo miło, gdyby Canone nie leżało o godzinę od Korfu. Droga do tego miejsca, jednego z najcudniejszych na świecie, prowadzi przez bulwar cesarzowej Elżbiety, znowu jeden z najpiękniejszych spacerów na kuli ziemskiej. A choć pięknych spacerów mają Korfioci tyle, ile ulic za miasto prowadzi, nie dziw, że tu ich najwięcej. Przyjeżdżają więc jedne za drugimi powozy, pełne Anglików, a na ławkach i krzeselkach gromadki przechodniów popijają słodkie wino cefalońskie i zjadają słodycze. Kilku majtków, widocznie Amerykanów, otoczyło katarynkę, grającą na ich

cześć bardzo piskliwie, ale w bardzo szybkim tempie, ukochaną ich narodową, idyotyczną „Yankee Doodle.“ Hałas, śmiech, pisk — a obraz roztaczający się przed nami tak prosi się o ciszę i spokój.

(Ciąg dalszy nastąpi).



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Celem takiego ustroju było uczczenie N. Panny Maryi w tej fazie Jej żywota, gdy po Wniebowstąpieniu Syna, otrzymawszy płomień Ducha Świętego razem z Apostołami, była ich duchowną matką i przewodniczką. A może też oprócz tego celu myślą zakonodawczyni było wykazanie faktyczne, że naturę zwyciężyć można w jej najdespotyczniejszych wymogach, że pomiędzy mężczyzną a kobietą i poza gniazdem rodzinnym istnieć może piękny stosunek tej miłości gorącej a czysto duchowej, jaki łączy pomiędzy sobą synów i córki wspólnego domu. Wiadomo z doświadczenia wielu ludzi o sercach czystych, jak bardzo słodkim uczuciem jest prawdziwa przyjaźń. Uczucie to, będąc z natury swej platończym i bezinteresownym, znosi całkowicie wszelkie względy osobiste, nie biorąc w rachubę płeć, wiek, stan i t. p., chodzi mu tylko o odpowiedniość duchową, po za którą wszystko inne ma dlań znaczenie podrzędne. Nie jest więc przeszkodą dla zawarcia przyjaźni różnica płci — naturalnie pod warunkiem, aby obie strony traktowały uczucie swe idealnie, gdyż inaczej będzie ono zwiecznym w samej zasadzie i stanie się komedią lub maską.

Sucha formalistyka obyczajowa odmawia kobiecie prawa do męskiej przyjaźni. Konwenans nie udziela swego votum zaufania dziewczynie, która ze zjednoczoną z nią intelektualnie młodzieżą męską chciałaby przedstawiać z prostotą i szczerością przyjacielskiego koleżeństwa. Może tu winien konwencyonalizm, — a może winni chłopcy i dziewczęta, którzy w tym względzie nie wzbudzili wiary; w każdym razie reforma stosunku młodzieży pomiędzy sobą i uregulowanie go na nowych podstawach musi stać się jednym więcej zadaniem rozumnie pojmowanego feminizmu. Zbierając materiały do przyszłego obyczajowego prawodawstwa w tym względzie warto rozejrzeć się w historycznym precedensie tej kwestyi, jaki właśnie przedstawiają wyżej wymienione instytucje św. Brygidy. Rozwiązała ona kwestyę w ten sposób, że braterstwo ducha uznała za równie ważne i szanowne, jak braterstwo krwi, a węzłem, zastępującym wspólność pochodzenia, uczyniła wspólność umiłowanej idei.

Rozumie się jednak, że była tam przytem ścisła kontrola, był dom osobny i mur wysoki — było wszystko, co jest potrzebnem gwo-

owemu przysłowiu o dyable, który nie śpi. Bo posądzeniami wprawdzie krzywdzić ludzi nie potrzeba, ale nie potrzeba też na ryzyko wystawiać natury ludzkiej. Brygitta umiała znaleźć środkowy punkt pomiędzy pierwszym a drugim, i system jej okazywał się doskonałym, o ile tylko przepisów zakonodawczyni ściśle przestrzegano.

Z klauzurą żeńskich klasztorów w ogóle, rzecz się tak miała, że im dalej cofamy się w przeszłość dziejów chrześcijaństwa, tem mniej jest rygor w tym względzie. Pierwotnie dziewice Bogu poświęcone pozostawały przy swej rodzinie; następnie, mieszkając już z sobą wspólnie, komunikowały się swobodnie ze społeczeństwem, któremu oddawały filantropijne usługi. Znacznie później dopiero zakonne zgromadzenia żeńskie poczęły być obwarowywane klauzurą, której nadzwyczajny rygor wystąpił najsilniej w tym okresie Średniowiecza, w którym, jak to w poprzednim rozdziale wykazano, wybitna indywidualność kobiety z okresu gminnych ruchów ustąpiła miejscą bladej osobistości lalkowatej damy.

Co mianowicie wpłynęło na równoległe prawie z tym obyczajowym prądem ograniczenie swobody ruchu mniszki, czy to przeważały pewne względy moralne, czy raczej wprost wpływ ducha czasu, nie mamy potrzeby zgłębiać, aby nie odbiegać daleko od przedmiotu. Zaznaczymy tylko fakt, że klauzura klasztorów żeńskich, w ogóle znacznie ścisłsza niż męskich, nabrała w epoce rozkwitu szewalerii tak nadzwyczajnej ścisłości, że wobec niej nieczem są te pozostałości ówczesnego rygoru, które dziś w najsurowszych kobiecych klasztorach widzimy. To też, gdy żywe nurty Odrodzenia poczęły podmywać wielką średniowieczność, ugięły się nawet żelazne kraty panieńskich monasterów; klauzura wolniała w nich do tego stopnia, że zbyt sztywny niedawno rygor stał się niedostatecznym i wynikły rozmaite nadużycia. W XVI-tym w. Cysterki we Francji rozluźniły się do tego stopnia, że klasztory ich stały się gościnnymi domami, gdzie dawano przyjęcia, bawiono się i używano, tak, iż ostatecznie papież zamknąć je musiał. Zdarzało się, że wyszłe z karności mniszki wprost wypowiadały posłuszeństwo biskupom, chcącym zbyt rozluźnioną klauzurę obostrzyć i wypłenić nadużycia. To też takie klasztory, tracąc z przed oczu swoje cele, traciły zarazem rację bytu — i grunt zapadał im się pod nogami. Gdy ustawała potrzeba czasu, która wywołała zainicjowanie danego zgromadzenia, lub gdy ono samo przestawało czynić zadość tej potrzebie, wtedy społeczeństwo traciło doń serce, a Kościół kładł ostatecznie swą sankcję na głosie opinii powszechnej i znosił instytucję, która z celowej i pożytecznej stała się bezplodnym przeżytkiem.

Najjaskrawszy przykład duchowej ewolucyi tego rodzaju mieliśmy sposobność obserwować z blizka, własnym, drogim kosztem, gdy szlachetna instytucja zakonnego rycerstwa, w założeniu swem bohatersko świątobliwa, a tak bardzo w okresie Krucyat pożyteczna, przeszczepiona z Palestyny na Mazowsze, w krótkim czasie wyrodziła się z owocodajnego drzewa w koleczastą dziczkę, a bezinteresowni obrońcy krzyża stali się łupieżczymi krzy-

żownikami. Ciekawym szczegółem z historii krzyżackich gwałtów na bałtyckiem pomorzu jest fakt, notowany w życiorysie św. Katarzyny Szwedzkiej, córki św. Brygidy, która w r. 1373-cim przejeżdżając przez Gdańsk w drodze z Rzymu do Waldstena, z odziedziczoną po matce gorliwością do plenięcia chwastów z niwy Kościoła, śmiało wypowiadała wbrew Krzyżakom ich nadużycia, gromiła zwiechnięcie posłannictwa i zapowiadała straszliwą karą sprawiedliwości Bożkiej.

W niewiele późniejszym czasie co owe dwie męzne Skandynawki — chrześcijańskie Walkiry, bojujące o czystość w Chrystusowym gmachu — żyła Franciszka, Rzymianką zwana, także matrona wysokiego rodu, tak samo oddana obowiązkom położenia światowego, a wśród świata za zakonem uduchowieniem stęskniona. Pani ta wpadła na pomysł ułożenia systemu życia i działalności, któryby umożliwiał połączenie powinności ziemskich z klasztorną abnegacją. Za jej impulsem utworzyło się w Rzymie kobiece stowarzyszenie „Oblatek“ (czyli Zaofiarowanych), czyniące zadość tej potrzebie duszy. Przystępowały doń światowe panie i panny, które pełniły dalej w rodzinie poprzednie swoje zadania życiowe, a w tem zrzeszeniu o duchownym charakterze zakonnym znajdowały upragniony nastrój wyższej religijności i wzajemną pomoc do moralnego udoskonalenia. Biograf św. Franciszki opowiada o niej: „Przy wygórowanej zdolności kontemplacyjnej posiadała umiejętność chodzenia po ziemi, jedno z drugim utrzymując w doskonałej równowadze.“ Oblatki owe, wnoszące do ogniska domowego zaczerpnięte w praktykach swej reguły uduchowanie i nawzajem, do interesów swego zgromadzenia — trzeźwą rządność gospodyni domu, przedstawiają jeden z typów kobiecości bardzo nam sympatycznych, jako bliższych przeciętności naszej, a miły tą umiejętnością zharmonizowania w życiu niewieściem wyższego idealizmu z powszednią praktycznością.

W XIV-tym również wieku zajaśniała jedna z najwybitniejszych kobiet, jakie wydała instytucja zakonna, Katarzyna zwana „Seneńską“ od rodzinnego miasta — włoskiej Sienny. Urodzenie i wychowanie nie dało jej nic, coby mogło stać się podstawą wybitnego stanowiska. Była córką farbiarza, chowała się w domu mieszczańskim wśród powszedniego otoczenia, a to, czem się później stała, nie z zewnątrz, lecz całkowicie z wewnątrz wypłynęło. Dary przyrodzone dane jej były obficie: miała uroczą postać, poważną inteligencję, dzielną energię, a przytem żywą wyobraźnię i ognistą wymowę. To wszystko jeszcze w dzieciństwie przeznaczyła niepodzielnie Bogu, a gdy trzynastoletnią panią zażądał jej za żonę pan możny — miejscowa świetna partya — ona chcąc z góry postawić tamę namowom i wpływom, obcięła sobie warkocze i welonem głowę nakryła. Ta manifestacja nie przeszkodziła wszakże naci-skowi rodziców i perswazyom rodziny; ale stałość dziewczynki wszystko przetrwała i Katarzyna została nakoniec Dominikanką. Lecz nie cichy spokój czekał ją w klasztorze, tylko nowa walka, a znacznie cięższa, bo z własnym temperamentem. W psychologicznym dziale biografii Świętych opisy jej pokus

i mak wewnętrznych zajmują okazałe miejsce. Borykanie się ducha z krwią, wyobraźni z wolą, zwyciężanie ślepej natury uświadomioną siłą moralną, urobiło młodą duszę na bojownicę wysokiej miary, przygotowało do trzeciej z kolei walki — walki ze światem, mającej się odbyć na rozległej widowni zawiązanego wówczas groźnie społeczeństwa. Grasująca w tym czasie straszliwa zaraza, zwana „czarną śmiercią“, dała poczną Katarzynę szerszemu ogółowi. W Siennie najpierw, następnie w Pizie, młoda Dominikanka nie tylko ze szczególnym mężstwem i zaparciem się pielęgnowała zarażonych, ale podniecona widokiem tylu nędz ludzkich, poczęła przemawiać do tłumów na miejscach publicznych, nawołując lud przerażony klęską do poprawy i pokuty za grzechy, które karę Bożą ściągają. Lud jęczał i bił się w pierś, a niebawem daleko rozbrzmiała sława miłosierdzia, mądrości, wymowy natchnionej oratorki, a nawet jej nadprzyrodzonej mocy i cudotwórczych czynów. Gdy w pośród srożących się wówczas w państwach włoskich zawziętych walk stronnicy Florentczycy zapragnęli zgody z państwem Kościelnym, potężne miasto wysłało od siebie do papieża, rezydującego wtedy w Awinionie, niejakiego poważnego dyplomaty lub męża stanu, lecz ją, dwudziestokilkuletnią dziewczę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



OJCZE NASZ.



— Zostanie pani przy mnie?

— Zostanę.

— Aż do rana?

— Do rana...

— Dziękuję... Jaka pani dobra!...

Przymknął oczy, głowę do ściany obrócił i zdawał się drzemać.

Kobieta wstała cichutko, ułożyła na stoliku porozrzucane lekarstwa, potem usunęła się w przeciwny kąt pokoju i czytała. W świetle błękitnej lampy nocnej widać było twarz jej spokojną i dziwnie jasną.

Chory długą chwilę leżał nieruchomy: usiłował zasnąć, ale sen nie przychodził. Potem chwycił go paroksyzm gwałtownego kaszlu; wreszcie uspokoił się nieco i dysząc ciężko opadł bezsilny na poduszki. Oczy jego niespokojne błądziły po pokoju, aż zatrzymały się tam, gdzie na małym stoliku paliła się błękitna lampa nocna. W świetlanym kręgu zobaczył jasną głowę nisko nad książką pochyloną i coś, niby cień rozczulenia przemknęło mu po twarzy.

— Jaka ona jednakże dobra! — pomyślał. — Wszyscy mnie opuścili, wszyscy! A tyłu ich przecież miałem, przyjaciół! Cha, cha, cha!... — i gorzka ironia wykrzywiła mu usta.

— A no, kiedyś byłem im potrzebny... Dziś co im po mnie?... Suchotnik... nędzarz... żyjący trup... a oni w pełni sił, młodości, z pragnieniem i nadzieją szczęścia... do nich się życie uśmiecha... więc co im po mnie?... Ona

jedna... nie bała się przyjąć... nie bała się zarazy... ani gorszej od zarazy, złej opinii świata — i przysła...

Z pomiędzy tego tłumu kobiet które znał, niema tu żadnej. Z początku choroby dowiadywały się, przysyłały kwiaty i pytania troskliwe o zdrowie; tak było miesiąc, dwa... Potem już nikt nie przychodził — zapomniano o nim. Nadszedł karnawał, czas tak szczelnie miały zapełniony, że na najpotrzebniejsze rzeczy go brakło... któżby tam zajmował się chorym, wycofanym zupełnie i na zawsze z życia towarzyskiego, i przez to naturalnie straconym dla społeczeństwa!

Życie nasze jest gorączkowe, oblicza się w niem wszystko na dzień, na godziny niemal... on za długo chorował, stanowczo za długo, więc poszedł w zapomnienie, jak stary, niepotrzebny już, zużyty... wachlarz.

Wziął dozorczynię z zakładu, ale i ją, po po trzech miesiącach do innego chorego odwołano: za długo chorował.

Wówczas przysła ona, towarzysza jego lat dziecinnych; zjawiała się pewnego popołudnia i rzekła bez wstępów:

— Wiem, że pan jest chory i sam, więc prosto ze szkoły zaszedłem do pana; może się na co przydam?

Zdziwił się bardzo i ucieszył — dawno jej nie widział. Kiedyś chowali się razem i uważali za rodzeństwo, potem życie ich rozdzieliło, stracił ją z oczu i zapomniał — zwykła kolej przyjaźni ludzkiej.

Ożywił się bardzo, rozgadał, przypominał te dawne czasy, kiedy to w konie biegali i grali w chowanego, albo płatali figle starej klucznicy. Oj te figle! była ich moc nieprzebrana!

Odtąd przychodziła co kilka dni, a wreszcie codzień, kiedy mu było gorzej. Zawsze znalazła chwilę, by go odwiedzić, lekarstwo przyrządzić, gazety przeczytać. Czekał jej z niecierpliwością; przynosiła mu trochę spokoju do znękanego duszy. Opowiadała czasami o swoich uczniach z wielką miłością i takim zapałem, jakby w tym małym świecie dziecięcym koncentrowało się całe jej życie. O sobie nigdy i nic. Aż raz nie wytrzymał i zapytał:

— Niechże mi pani powie coś o sobie o swoich sprawach bardziej osobistych.

Roześmiała się szczerze i rzekła z głębi duszy:

— Ależ to są właśnie moje sprawy najbardziej osobiste i najbliższe mię obchodzące.

Popatrzał na nią tylko i powiedział sobie: ta kobieta służy jakimś ideałom i życie im oddaje — ale nie wiem jakim.

.....

— Panno Janino!

— Słucham.

— Co pani robi tam przy stole?

— Uczę się.

— Zawsze się pani uczy, ciekaw jestem, kiedy będzie temu koniec?

— Nigdy. Człowiek zawsze powinien się uczyć, aż do śmierci.

— Ładna perspektywa! — mruknął.

Zakaszła się gwałtownie. W ustach poczuł smak krwi.

.....

Godziny płynęły... Na dworze padał deszcz. Zegar w sąsiednim pokoju monotonnie wydzwaniał godziny... dwunasta, pierwsza, druga...

Chory nie spał.

Szybki, nierówny oddech podnosił mu pierś. Wsłuchany w ciszę, czuł, jak mu tętna biją w rozpalonych skroniach...

Chwilami tylko zapadał w pół-sen gorączkowy; wówczas zdawało mu się, jakoby stado czarnych ptaków drapieżnych nadlatywało z szumem i wrzaskiem i obsiadało mu głowę...

Broni się rękoma ile sił... słyszy straszliwy łopot skrzydeł... tuż, tuż nad głową... czuje ból piekielny: to szpony okrwawione rozrywają mu pierś... a on już niema sił... i tylko oczy w śmiertelnym przerażeniu zastygły... mdlejące... zwraca ku napastnikom...

— Zabijają mnie... zamordują!... — szepce.

Słabnie... pot zimny oblewa mu czoło... w oczach ciemno... leci gdzieś... w przepaść czarną, bez dna... w noc i pustkę...

.....
Ptaki znikły... a on leży na dnie morza.. fale nad nim płyną szaro-zielone, leniwe, a ku niemu idzie śmierć...

Nie widzi jej, bo oczu otworzyć nie może, powieki ciężą mu ołowiem.. ale ją czuje coraz bliżej... coraz bliżej... idzie od niej chłód straszny, od którego mu się krew ścina w żyłach... drętwieje cały... i tylko jedna myśl rozpalonem żelazem mózg mu przeszywa

....Boję się!...

.....
...Idzie ku niemu groźna... nieubłagana — jak przeznaczenie... zimna i bezlitosna — jak serce świata... nieprzenikniona zagadka — śmierć...

— A potem co?

— Pustka? Noc?

.....

— Nie wiem... i boję się...

Kiedy się obudził, stała nad nim i wpatrywała się weń stroskanemi oczyma.

— Panno Janko... — szepnęła.

— Jestem... Jak się pan teraz czuje? Miał pan malinę.

— Może być. Niedobrze mi. Niech pani mówi do mnie głośno, bo źle słyszę. I tak mi jakoś dziwnie słabo...

— Może wody podać?

— Nie—dziękuję. Wie pani, śniło mi się, że śmierć do mnie szła... i bałem się... Ja się boję śmierci—i czem bliżej końca—tem bardziej mi strach... bo ja się przecież nie lędzę... o nie... ja wiem, że dla mnie niema ratunku nigdzie... nigdzie... nigdzie...

A ona przysiadła w nogach łóżka i mówiła słodko:

— I czem jest życie? Takie krótkie, wobec wieczności, jak jedna chwila wobec życia — nawet daleko krótsze! Ta chwila, to trud i walka dla zdobycia wieczności. I czem jest śmierć? Przejście ze świata nędzy i łez do raju, z wygnania do ojczyzny — to wyzwolenie! Ale ludzie boją się śmierci, bo albo myślą, że po za nią jest nicność, albo życiem złem nie zasłużyli na niebo i boją się kary sprawiedliwej. Po za śmiercią jest Bóg, Ten który powiedział: „Jam jest, który jest — początek i koniec“—Światło, Dobro i Prawda.

Słuchał z nateżeniem, oczy wielkie, czar

o nadmiernie rozszerzonej źrenicy wpijał w jej twarz. Spytał cicho:

— Pani nie boi się śmierci?

— Boję się Sądu, bom grzeszna; śmierci—nie. Kto idzie za Chrystusem, ten musi jeszcze za życia umierać sobie, światu i jego marnościami. Dla tych śmierć gdy przyjdzie, nie jest już wcale straszna.

— A czem można sobie według pani niebo zasłużyć?

— „Kochaj Boga nade wszystko, a bliźniego twego, jak siebie samego”—oto przykazanie, kto je wypełnił aż do końca, ten ma żywot wieczny.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Chory leżał cicho: wchodził w głąb własnej duszy, może po raz pierwszy w życiu, i robił z sobą rachunki. Wreszcie rzekł z jakąś bolesną rezygnacją:

— Zdaje mi się, że zmarnowałem życie i tam, po za grobem niczego spodziewać się nie mogę.

— Bóg jest miłosierny!...

— Gdybym miał czas... gdybym miał tylko czas... terazbym już inaczej...

— Niech pan ufa — będziemy się modlić.

— Ja się nie umiem modlić, nie modliłem się nigdy.

— To ja pana nauczę. Tylko trzeba ogromnie ufać, ogromnie, jak dziecko ojcu najszerszemu... i żałować... i przepraszać Go...

Uklękła...

„Ojcie nasz, któryś jest w niebie...”

„Święć się Imię Twoje...”

„Przyjdź królestwo Twoje...”

„Bądź wola Twoja...”

Janina Glogerówna.



D-r Lidya Rabinowicz-Kempner.



W osobie pani d-ra Rabinowicz-Kempner, która, jak wiadomo, na posiedzeniu ostatniego zjazdu przyrodników we Wrocławiu obraną została na przewodniczącą sekcji higieny i bakteriologii, poznajemy — pracującą na polu naukowym z powagą i powodzeniem — w kołach fachowych wysoko cenioną bakteriologię.

Ci, którzy mają przyjemność znać osobiście p. Rabinowicz-Kempner, cenią w niej zarówno uprzejmą i wysoce intelligentną kobietę, jak i zadaną żonę i matkę. Przedewszystkiem ujmuje d-r Lidya Rabinowicz swoim serdecznym i pełnym prostoty obejściem, pozbawionym wszelkiej sztuczności. Wszystko, o czemkolwiek bądź mówi, czy to gdy opowiada o najnowszych swych badaniach bakteriologicznych w dziedzinie tuberkulozy drobiu, czy to gdy zagłębia się z zamiłowaniem w naukowe prace swego męża, lub gdy z dumą macierzyńską opowiada o trojgu swych dzieciach, brzmi tak prosto i bezpretensjonalnie, iż dopiero po pewnym zastanowieniu, uświadamiamy sobie, jaka to wszechstronna i bogata objawiła się nam istota.

I gdy się siedzi naprzeciw niej, w jej skromnym, a jednak tak miłym gabinecie, wyda-

je nam się to zupełnie naturalnem, iż ta młoda jeszcze i pełna życia kobieta pracuje każde przedobiedzie w instytucie patologicznym, czas poobiedni poświęca w zupełności swym dzieciom, a wieczorami, gdy jej pieśczęszki spią, porusza wspólnie z mężem kwestye naukowe lub pisze swe zawsze pożądane artykuły do pism fachowych.

Wszystko, co ją otacza, jest tak spokojne i harmonijne, iż przypuszczaćby można, iż jest to dom prowadzony wzorowo przez kobietę tylko gospodarstwu oddaną. Zresztą ma p. Rabinowicz-Kempner jeszcze swego dobrego ducha domowego w swej świekrze, która ją w czasie nieobecności zastępuje w zajęciach gospodarskich.

— Nie wydałam się z domu więcej, niż każda inna kobieta, — mówi między innymi młoda uczona doktorka, — i byłam zawsze zdania, iż powołanie naukowe zgadza się w zupełności z macierzyństwem. Dzieci moje nie były mi nigdy ciężarem; przy urodzeniu każdego z nich nie przerywałam mej pracy, nawet na czas tak długi, jak tego ochrona prawna dla każdej robotnicy wymaga. Ograniczyłam tylko osobiste przyjemności: czytam prawie tylko literaturę fachową; rozrywkom towarzyskim poświęcam tylko niedziele.

Pani d-r Rabinowicz-Kempner urodziła się w Kownie i jest córką kupca, lecz całe jej rodzeństwo podziela jej zamiłowanie do wiedzy. Brat jest lekarzem, obie siostry oddały się również studiom uniwersyteckim, przerywały je jednak z powodu zamążpójścia. Doskonałą niemieczkę, którą władza Lidya Rabinowicz, posiadała od swej guwernantki, Niemki. Następnie uczęszczała do gimnazjum w swem mieście rodzinnem i pobierała prywatne lekcye greckiego i łaciny.

Nauki przyrodnicze studiowała w Szwajcarii: w Bernie i Zurychu i po ich ukończeniu zdała egzamin w Bernie *summa cum laude*. Praca jej na stopień doktorski miała za temat grzyby i to naprowadziło ją na drogę badań bakteriologicznych.

Pracowała trzy lata w instytucie Kocha, poczem otrzymała wezwanie na docentkę najstarszego Uniwersytetu amerykańskiego dla kobiet w Filadelfii. Tam przypadło jej w udziale zadanie utworzenia katedry bakteriologii i urządzenia Instytutu bakteriologicznego. Później została mianowaną professorem zwyczajnym i członkiem tegoż fakultetu.

Godność professorską w Filadelfii piastowała Lidya Rabinowicz-Kempner przez lat trzy i to tylko w zimie, latem bowiem wracała regularnie do Niemiec, gdzie pracowała dalej pod kierunkiem prof. Kocha w Instytucie bakteriologicznym w Berlinie. A gdy wkrótce wyszła za mąż za kolegę swego d-ra Kempnera, który również pracował w tymże Instytucie, poświęciła mężowi swą amerykańską professurę.

Po powtórnej trzyletniej działalności przy Instytucie Kocha, jest obecnie p. Rabinowicz-Kempner czynną przy założonym przez prof. Virchowa Instytucie patologicznym, a wyniki badań, które na tem polu ogłasza, cenione są przez fachowców. Ubiegłej zimy wygłosiła p. d-r Rabinowicz-Kempner w Berlinie odczyt o „Bakteriologii w dziedzinie higieny domowej.”

Ludwika P.

Z sali odczytów.



Odczyty w sali ratuszowej.

Drugi z kolei odczyt na dochód Osad Rolnych wygłosił w sali ratuszowej, dr. Henryk Nusbaum.

Treścią odczytu było serce.

Prelegent nie wystąpił jednak przed słuchaczami jako lekarz, opisujący ważny organ w ciele ludzkim z punktu widzenia fizyologicznego, w stanie zdrowia czy choroby, w czasie funkcji fizyologicznych, lecz wystąpił raczej jako poeta, uniesiony wyższym polotem wyobraźni.

W pięknych i pięknie, z uczuciem wypowiedzianych słowach roztaczał prelegent obraz poetyczny najwyższego czucia w sercu — miłości — w najróżniejszych jej objawach. Sercie nie występowało jako organ ciała ludzkiego, lecz jako symbol. Był i Eros i miłość bliźniego, miłość idei, miłość ojczyzny.

Do serdecznego oklasku złożyły się ręce licznie zebranej publiczności.

Odczyty w Muzeum.

Pięknym odczytem, wybornie popularyzującym wiedzę, rozpoczął p. Witold Wróblewski dn. 18 b. m., w sali Muzeum przemysłu i handlu, szereg odczytów przyrodniczych, zatytułowany: „O oceanie.”

O ile ramy odczytów zezwolić mogą, przed umysłem i wyobraźnią słuchacza rozpostarła się okiem niezmierną taflą oceanu, z głębią, z pomiarami, z którymi prelegent nie omieszczał słuchaczy swoich zaznajomić. Dowiedzieliśmy się więc, że przyrząd do mierzenia głębokości morza składa się: z ołowianki, rury z ołowianką i kuli. Kula jest zbudowana z dwóch części, ciężkiej i lekkiej. Przy uderzeniu o dno morskie kula rozpada się na dwie części: ciężka zostaje na dnie, lekka wypływa. Czas potrzebny na opadnięcie kuli ciężkiej i wypłynięcie lekkiej jest podstawą miary głębokości. Uczony francuzki, Bergrat, wynalazł sposób mierzenia głębokości wód za pomocą dźwięku. Przyrząd służący do określenia głębokości składa się z przyrządu wydającego dźwięk przy uderzeniu i nader czułego odbieracza. Czas od chwili wydania dźwięku do odebrania go przez telefon, podzielony przez dwa, pozwala łatwo określić głębokość morza.

Dalej słuchacze poznali chemię oceanu, jej właściwości, temperaturę wody morskiej i t. p. wreszcie barwę, o której do niedawna myślano, że jest żadną, t. j. że woda morska jest bezbarwna. Obecnie dowiedzione jest, że woda morska ma barwę niebieską, wskutek czego, wszystkie promienie czerwone są pochłaniane i przedmioty czerwone wydają się czarnymi.

Własność tę pochłaniania barwy przez wodę morską wyzyskuje natura w celu uchronienia niektórych żyjątek od żarłoczności wielkich tvorów morskich.

Dla światła woda jest mało przezroczystą. Za łatwo i zajmującą podaną wiedzę słuchacze dziękowali prelegentowi gorącym oklaskiem, z ciekawością wyczekując dalszego ciągu odczytów „O oceanie.”

— Drugi odczyt p. Stanisława Kalinowskiego, który pierwszym swym odczytem „O widmie,” dowiódł, jak ważnym popularyzatorem najpoważniejszej wiedzy może być żywe słowo, nie posiadał w równym stopniu popularyzatorskiej siły, dla przeciętnych słuchaczy nadto rozbiegał się w szczegółach, przez co odchodził od głównego przedmiotu i mniej był zrozumiały.

Prelegent mówił „O barwach” — a najważniejszym błędem, jeśli tak rzec można, wczor-

rajszego odczytu było, że mówca w ramach godzinnej pogawędki chciał pomieścić za wiele.

Bardzo szczegółowo tłumaczył prelegent prawo Dopplera, a biorąc za przykład nietylko dowody głosowe, ale i wytłumaczenie różnicy, istniejącej pomiędzy faktem świetlnym a wrażeniem wskutek ruchu organu otrzymanem, wytłumaczenie zasady rozpoznawania ruchu gwiazd i obliczenie jego szybkości na zasadzie tej różnicy, zajęło dużą część odczytu.

Dalej mówił p. Kalinowski o zależności barw światła od długości fali świetlnej, o mieszanii barw i barwników, o przepuszczaniu promieni jednych barw a zatrzymywaniu drugich, co właściwie stanowi barwę ciała; o oświetleniu bez podniesienia temperatury, o fosforescencji i fluorescencji—a zakończył wykład swój wykazaniem różnicy pomiędzy faktami dowiedzionymi a hipotezami, które aczkolwiek dla nauki konieczne, stać się mogą szkodliwe, jeśli umysł badacza nazbyt konserwatywnie przy nich stoi.

Zofia S.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Opera: „Opowieści Hoffmana.”

Jak się zdaje, reżyseria naszej sceny wielkiej nareszcie natrafiła w sezonie obecnym na żyłą złotą, zdolną zasilić, i to poważnie nawet, pod każdym względem chromającą od pewnego czasu finanse i repertuar opery warszawskiej. Żyłą tą jest 3-aktowa opera fantastyczna znanego twórcy operetek, Jakóba Offenbacha, p. t.: „Opowieści Hoffmana,” wystawiona po raz pierwszy w Teatrze Wielkim w tygodniu ubiegłym.

„Opowieści” nie są wprawdzie nowością dla naszego świata muzycznego; kilkanaście lat temu widzieliśmy je na scenie jednego z teatrzyków ogródkowych (z Aleksandrem Bاندrowskim, podówczas jeszcze śpiewakiem operetkowym w roli tytułowej), przed siedmiu zaś laty produkowała je trupa operetkowa lwowska, goszcząca wtedy w zabudowaniach cyrku. Próby powyższe zaznajomienia miłośników naszych z dziełem, ciesząc się powodzeniem wybitnym na wszystkich prawie główniejszych scenach europejskich, dla szczupłości ram, tudzież ubóstwa środków wykonawczych, pomimo, że zainteresowały szczególnie ogół szerszy słuchaczy, nie potrafiły jednak dać mu należytego przedstawienia o całej wartości opery „mistrza Jacques’a.”

Dopiero obecnie, na wielkiej scenie, przy zastosowaniu imponującego aparatu czynników dekoracyjnych i technicznych, z bogatą obsadą ról, z chórami licznymi i wyćwiczone, z orkiestrą karną i zgraną, zalety utworu mogły zostać ujawnione w świetle należytem; zajaśniały też blaskiem tak wielkim, że „Opowieści” nie wahamy się nazwać arcydziełem w swoim rodzaju. Począwszy od libretta, będącego bardzo zręcznym zestawieniem kilku barwnych scen z różnych powieści fantastycznych Wilhelma Hoffmana, przedstawiającego dużą wartość literacką, a nadającego się, jak lepiej nie można, do zillustrowania go mową tonów, a kończąc na partycy, w której twórca jej przedstawił się, jako romantyk najczystszej wody, a więc zgoda inaczej, niż przywykliśmy nań patrzeć, jako na figlarnego autora rozkankanowanych utworów z dziedziny muzyki lekkiej, wszystko w operze tej jest nowe, oryginalne, świeże, pełne dziwnego jakiegoś wdzięku i uroku, jaki dać może jedynie powiew natchnienia szczerzego i niepospolitej fantazyi, przedziwnie przytem zrównoważone, słowem od-

powiadające wszelkim wymaganiom, jakie stawiać się zwykło temu, co nazwą arcydzieła darzymy.

„Opowieści”—to typowy i jedyny może okaz opery popularnej, zdolny we wszystkich obozach muzycznych i u wszystkich zwolenników opery, bez względu na to, jakiemu hołdują kierunkowi w muzyce, zjednać sobie uznanie bez zastrzeżeń. Każdy tu znaleźć może to, co odpowiada gustom jego i upodobaniom. Amatorowie pięknych melodii mają w partycy prawdziwy ich źródło—szlachetnych w nastroju i charakterystyce, wytwornych w liniach rysunku i przeważnie bardzo oryginalnych. Muzycy fachowi odnajdą tu mnóstwo wielką szczegółów opracowania technicznego, wysoce zajmujących: ładny podkład harmoniczny, misterna w swej przejrzystości robota kontrapunktyczna, a i oprawa rytmiczna, dynamiczna, formy, instrumentacja mogą zadowolić w zupełności najbardziej nawet wymagającego specjalistę. Zwolennicy kierunku nastrojowego w muzyce mogą się rozkoszować do woli rodzajową odrębnością kolorytów, zabarwienia i kontrastów każdego z poszczególnych obrazów dzieła, podobnie, jak wielbiciele muzyki komicznej, romantycznej lub seryo dramatycznej również nie mogą narzekać na brak tych właśnie rodzajów w momentach bądź kipiących życiem i werwą, jak prolog, bądź skrzących się dowcipem, jak cały prawie akt pierwszy, bądź utrzymanych w tonach idylliczno-marzycielskich (cała pierwsza połowa aktu trzeciego), bądź wreszcie wielkie wywierających wrażenie siłą i potęgą wyrazu dramatycznego, jak końcowe sceny aktu ostatniego.

Gdy do zalet powyższych partycy dodamy nadto i takie, jak: przystępność dla każdego ucha melodyjność wszystkich bez wyjątku ustępów muzycznych, wytworność estetyczną ich form i konturów, niepospolite pocucie miary artystycznej w założeniu, uplanowaniu i przeprowadzeniu zarówno poszczególnych pomysłów i efektów, jak i całości dzieła, wreszcie wdzięk i szlachetność stylu, dziwić się nie będziemy temu powodzeniu, jakie zdobyły sobie „Opowieści” w całym świecie muzycznym.

Powodzenie to, sądząc z objawów zachowania się słuchaczy warszawskich na pierwszych przedstawieniach, ma zapewnione opera Offenbacha i u nas, zwłaszcza, że ze strony kierowników sceny wielkiej uczyniono wszystko, aby je bardziej jeszcze ugruntować i utrwalić. Zasługa w tem zarówno reżysera, p. Chodakowskiego, jak i dyrektora muzycznego, p. Podestiego, którzy każdy w swoim dziale, włożyli tu duży nakład pracy i sumiennej i umiejętnej, dzięki czemu wszystko w widowisku idzie jak z płatka, żaden efekt techniczny nie zawodzi, strona dekoracyjno-kostyumowa nęci oko widza swą malowniczością, na scenie panuje gwar i życie, przebieg całości przedstawienia wyróżnia się brakiem jakiegokolwiek chwiejności i niedokładności, pomiędzy czynnikami wykonawczymi na scenie i w orkiestrze panuje harmonia zgodna i pożądana.

Partye główne mają odpowiednich i stojących zupełnie na wysokości zadania przedstawicieli w osobach pań: Luce, Boguckiej i Tracikiewiczówny, oraz pp. Drzewieckiego (rola tytułowa), Gorskiego i Chodakowskiego. Doskonale również dostrajają się do całego zespołu i wykonawcy ról drugorzędnych: panie Frenklówna i Chotkowska, oraz pp. Dyliński, Lewicki, Tarnawski, Morlacci, Kawalski i Crotti.

Chóry i orkiestra sprawiają się bez zarzutu.

St. Dziadulewicz.

...Sława i pieniądź, w życiu nieopromienionem miłością prawdziwą, mają tylko wartość... brylantów na pustyni.

...Za wszystko płacić trzeba, za szczęście przez zły los i boleścią wspomnienia, do przyszłego przez ciernie krwawiące nogi dojść trzeba, a będzie pewne.

N. G.

Kronika działalności kobiecej.

— Praga. Ellen Key u Czechów. Znakomita szwedzka autorka bawiła dni kilka w Pradze Czeskiej, i tam w wielkiej sali stowarzyszenia niemieckich pisarek „Concordia” wygłosiła kilka odczytów. W odczytach swych z gorącym słowem odnosiła się wyłączenie do kobiet niemieckich, na uroczystym przyjęciu, wydanem na jej cześć przez związek „Concordia,” zwracała się z odpowiedzią na toasty też jedynie do kobiet niemieckich, wysławiając ich cnoty i wytrwałość i stawiając je ponad inne, czem tak źle usposobiła przeciw sobie Czechów, że przewodnicząca stowarzyszenia kobiet czeskich, w imieniu czeskich uczestniczek, pismem, przesłanem Ellenie Key, nazajutrz po uroczystym przyjęciu w „Concordii,” prosiła szwedzkiego i tak oczekiwanego przez Prażan gościa, o zaniechanie odczytu, jaki był przeznaczony na dzień następny w klubie czeskim. Po pobycie w Pradze, Ellen Key miała zamiar pojechać z odczytami do Brünna, lecz ponieważ te przeznaczone były dla czeskiej publiczności, Cześć z Brünna przysłała także odpowiedź odmowną.

— Anglia. Miss Maud Lawrence została mianowana na stanowisku generalnego inspektora szkół żeńskich i mieszanych niższych, w Anglii. Miss Lawrence ma do pomocy cały sztab inspektorek, jej zaś głównym zadaniem jest baczyć na zdrowotne warunki w szkołach dziecięcych elementarnych i tak zwanych freblowskich, oraz obok tych warunków, na praktyczną stronę wychowania dziewcząt w szkołach wyższych.

— Londyński królewski instytut budowniczych po raz pierwszy do grona swych członków zaprosił kobietę, miss Ethel Charles. Miss Charles zasłużyła sobie na to wyróżnienie przez zdobycie pierwszej nagrody na konkursie, ogłoszonym przez wyżej wzmiankowany instytut, a mający za przedmiot dzieło wyczerpująco traktujące o rozwoju architektury w Anglii i używanych do niej materiałów.

— W Londynie odbył się w tych dniach wielki wiec kobiet, żądających równouprawnienia politycznego. Przewodniczył członek izby posłów, Leonard Courtney. Na wiec przybyło bardzo wiele przedstawicieli arystokracji angielskiej, a między innymi: lady Aberdeen i lady Carlisle, dwie nader gorliwe orędowniczki praw kobiecych. Wynikiem wiecu była uchwała, domagająca się od parlamentu, aby zniósł prawa, ograniczające wolność kobiet.

— Arystokratki angielskie nie uważają bynajmniej za rzecz niewłaściwą zarabianie pieniędzy pracą w tym kierunku, w którym są uzdolnione. Hrabina Limerich odbywa obecnie koncertową wędrowkę po Stanach Zjednoczonych, a zapracowane koncerty pieniądze, przeznacza na założenie i ufundowanie szkół muzycznych w Dublinie. W Londynie lady Wimborne, żona żelaznego i węglowego magnata, utworzyła w pobliżu swego pałacu w Mayfair, księgarnię z której zyski przeznacza na dobroczynne cele.

Z. S.

Kroniczka.



— Konkurs imienia Kurjerowa ogłoszony przez Towarzystwo Sztuk Pięknych został obecnie rozstrzygnięty. Ponieważ z dzieł nadesłanych żadne nie kwalifikowało się do pierwszej nagrody, przeto summe 360 rubli rozdzielono na dwie prace; rubli 260 przyznano p. Teodorowi Ziolkowi za „Wieczorną zorzę“ i rubli 100 p. Władysławowi Rudlickiemu za rzeźbę: „Z powrotem.“

— Przybyła nam nowa, a zawsze pożyteczna instytucja, mianowicie czytelnia nowo-założona przez dwie młode kobiety, pp. Janinę i Wandę Kraczkiewiczówny w domu pod Królami przy ulicy Daniłowiczowskiej № 14. Czytelnia ta poleca książki treści naukowej, oraz najnowszą belletystykę w czterech językach.

— Pismo „Gospodarz i Lokator“ ogłosiło konkurs na temat „który z domów zbudowanych od roku 1899-go jest najpiękniejszy?“ Głosować mają prawo czytelnicy pisma do połowy Kwietnia. Właściciel domu i jego budowniczy, którym przyznają największą liczbę głosów, otrzymają żetony złote; drugiego stopnia żetony srebrne. Ciekawym byłby konkurs na temat: który dom jest najczystszy i najlepiej urządzony, co przy panującej drożyznie mieszkaniowej ujawniłoby niechybne kontrasty.

— Oddział Towarzystwa Hygienicznego w Łodzi wydał szereg wydawnictw popularnych treści i pouczających objaśniających czytelnika o chorobach zakaźnych, o zapobieganiu im i leczeniu.

Broszury te w cenie jednego grosza (1/2 kopiejki) przystępne są do nabycia dla każdego, a oddają znakomite usługi, zamieszczając wiadomości naukowe, prawdziwe, zbijające przesady i zabobony w leczeniu stosowane i z czasem przyczynić się mogą do rozpowszechnienia wśród najszerszego ogółu niezbędnych a najelementarniejszych pojęć o potrzebach i uwzględnieniu higieny.

Książeczek tych wyszło dotychczas 12. Tematy ich następujące:

1. Błonica (dyfteryt) i jak się przy niej zachować, przez d-ra Skalskiego.
2. Plonica (szkarlatyna), przez A. Tomaszewskiego (obie broszury na wyczerpaniu).
3. Świerzb (z 2-ma rysunkami w tekście), przez d-ra Skalskiego.
4. O porodzie i pologu, przez tegoż.
5. Tyfus brzuszny (dur), przez A. Tomaszewskiego.
6. Zadania „Kropki mleka“ w Łodzi, przez d-ra S. Serkowskiego.
7. Jak się obchodzić z ranami, przez d-ra J. Wattena.
8. O suchotach czyli gruźlicy i jak się tej choroby wystrzegać, przez d-ra S. Sterlinga.
9. O ospie, przez dra S. Skalskiego.
10. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach, przez d-ra A. Goldmana.
11. Jak się ustrzedz chorób żołądka, przez d-ra J. Maybauma.
12. Ani kropki wódki!, przez d-ra S. Serkowskiego.

Byłoby niezmiernie pożytecznem, aby niniejsze broszurki dostały się do rąk włościan i po wsiach zaszczyliły ziarno zdrowej kultury i samoobrony przed grasującymi epidemiami.

— Kalendarzyk „Kropki mleka“ (w cenie kop. 10), wydany na rok bieżący, zawiera: „O kuchni i gospodarstwie domowem“ W. Serkowskiej; „Hygiena niemowlęcia“ d-ra A. Rzęda; „Hygiena wobec chorób płucnych“ d-ra S. Sterlinga; „Hygiena jamy ustnej“ i „Uwagi dentystyczne“ d-ra J. Maybauma.

— „Gasnące słońce“, powieść Teodora J.-Choińskiego we Włoszech.

W Neapolu, nakładem wydawcy N. Jowene, wyszła powieść T. J.-Choińskiego „Gasnące słońce“, w podwójnym przekładzie włoskim. Pierwszego przekładu p. t. „Solis obca“ dokonał znany literat włoski, Federigo Verdinois, tłumacz „Quo vadis“, drugiego (wydanie popularne skrócone) p. t. „L'Astro al tramonto“, p. Helena Colombi. Przed wyjściem „Gasnącego słońca“ drukował tę powieść dziennik neapolitański „Il Mattino“, który poprzedził druk artykułem informacyjnym (p. t. „Il nostro nuovo romanzo, chi è l'autore?“), poświęconym działalności literackiej Choińskiego, i obszerną oceną powieści. W ocenie tej pisze „Il Mattino“ pomiędzy inemi: „Obok ścisłej obserwacji faktów, odznacza się „Gasnące słońce“ niezwykłą potęgą daru wywoływania. Wszystkie postacie historyczne żyją; kompozycja jest mistrzowska, a koloryt wspaniały. Lepiej niż na kartach Ernsta Renana poznaje się z tej powieści Marka Aureliusza.“

Po wyjściu „Gasnącego słońca“, o książce posypały się krytyki na przestrzeni całych Włoch. Czerdziesięć ośm pism włoskich zajmowało się dotychczas tą powieścią.

Rzymski dziennik „Il Popolo Romano“ pisze: „Autor „Gasnącego słońca“ rozporządza w wykonaniu swojego rozległego płótna zdumiewającą swobodą, a jego postacie odznaczają się przedziwną plastyką. Wierność tła historycznego nie przeszkodziła mu bynajmniej dowieść niezwyklej zdolności artystycznej. Wielkie powodzenie książki tłumaczy się jego zasłużoną wartością. Wśród powodzi autorów dwuznacznych i pospolitych, jaką nas głównie Francja zalewa, wartość moralna i literacka „Gasnącego słońca“ powinna oddziaływać dobroczynnie na sztukę i na czytającą publiczność.“

W turyńskim dzienniku „Il Momento“ mówi L. Sanvitale o „Gasnącym słońcu“: „Gasnące słońce“ należy do cyklu słowiańskich powieści historycznych, osnutych na tle konfliktu między światem pogańskim a chrześcijańskim. Po Kraszewskim Sienkiewicz odtworzył w „Quo vadis“ czasy neronowskie, Mereżkowski upodobał sobie w „Śmierci bogów“ reakcję pogańską Juliana Apostaty, Choiński wybrał epokę Marka Aureliusza. Malowidło obyczajów jest w „Gasnącym słońcu“ świetne; całe życie rzymskie zmartwychpowstało w tej powieści. Pomyśl dzieła jest rozległy, a światło obrazu skupia się głównie na postaciach Publiusza i Mueyi, które narzucają się uwielbieniu swoją wyrazistością i jednolitością. I reszta charakterów traktowana jest po mistrzowsku.“

Gualtiero Guatteri mówi o „Gasnącym słońcu“ w tygodniku florenckim „Rivista Italiana“ co następuje: „Gasnące słońce“ Teodora Jeske-Choińskiego jest powieścią, która ma zapewnione wielkie rozpowszechnienie, i którą krytyka włoska przyjęła więcej, niż życziwie. Ładna to powieść, która olśniewa i przyciąga. Bardzo dobrze są naskicowane różne rodzaje filozofii za czasów Marka Aureliusza i Lucjusza Vera. Malując walkę poganizmu i chrześcijaństwa, udało się Choińskiemu tak samo, jak Ecksteinowi, ominąć błąd, który popełnili wszyscy inni autorowie, czerpiący tematy swoje z przeszłości rzymskiej. Chcąc uwypatnić cnoty chrześcijan, obniżyli wszyscy rozmyślnie pogan, wysilali się na wykazanie ich spodlenia. Autor „Gasnącego słońca“ ominął ten błąd świadomie, nie poszedł śladem swoich poprzedników, którym się zdawało, że utworzyli szkołę, i dlatego jest jego obraz artystyczny czasów Marka Aureliusza obrazem niezwykle prawdziwym. Piękna jest część opisowa „Gasnącego słońca“, piękna jest rekonstrukcja storożynego grodu Cezarów, doskonale wystudowana psychologia postaci, które żyją wszystkie.“

Sprawozdawca neapolitańskiego dziennika „Don Marzio“ pisze: „Przeczytałem powieść Teodora Jeske-Choińskiego w świetnym przekładzie Federiga Verdinois. Wrażenie, jakie zostawiają te pięćset stronic, jest prawdziwie niezaprzeczane. Oto jeszcze jeden Polak, który maluje ze ścisłością i ze świetnym kolorytem dekadencję rzymską. Dzieło Choińskiego jest naprawdę silne i potężne. Jest to powieść, którą trzeba czytać nie raz, nie dwa.“

„Gasnące słońce“ wyszło dotychczas w przekładach: rosyjskim, czeskim, węgierskim, niemieckim, szwedzkim i włoskim.

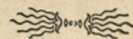
Przed tygodniem wyszła w Neapolu u tego samego wy-

dawcy w przekładzie włoskim druga powieść rzymska Choińskiego p. t. „Ostatni Rzymianin“ (tytuł włoski „Usque et ultra“). Obecnie pracuje p. Verdinois nad przekładem „Tyary i Korony.“

— Jedno z pism donosi, iż kobiety posiadające nieruchomości w Tyflisie, rozpoczęły starania o nadanie im prawa wybieralności do rady miejskiej i głosowania, oraz prawa zajmowania posad rządowych.

— We Lwowie zmarła ś. p. *Marya Wystouchowa*, znana pisarka i obywatelka.

— Dnia 12-go b. m. zmarła w Warszawie ś. p. *Stanisława Strzelecka*, długoletnia współpracowniczka administracji „Tygodnika Ilustrowanego.“ Przez ćwierć wieku nieustraszoną pracowniczką dotrwała na swym stanowisku, jedynając szacunek, uznanie i sympatię swego otoczenia, zwierzchników, kolegów i koleżanek, a nawet służby administracyjnej. Gorliwa praca, sumienne wypełnianie obowiązków, stanowiły wybitne zalety tej cichej, a tak pożytecznej kobiety, oprócz wrodzonych przymiotów serca i umysłu, które zaskarbiały jej względy ogólne. Żyła lat 56.



Od Administracji.

Celem uniknięcia zwłoki w przesłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwartał następny.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu“ (Nowy-Swiat, 41).

— Do niniejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się dla wszystkich prenumeratorek Zawiadomienie o otwarciu nowego sklepu składu maszyn Kompanii Singera.

Rycina kolorowana mód paryzkich dołączoną zostanie do № 14-go.

Treść numeru:

Rozwój fizyczny dziecka i krzywica, przez d-ra Józefa Brudzińskiego (ciąg dalszy). — Joan. VIII, 1—12, powieść, przez Maryę Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — Trzy Pieśni (wiersz), przez Ziemowita Głińskiego. — Wykształcenie kobiet, przez Katarzynę Dolbear, tłum. Anny Grudzińskiej. — Piórem i ołówkiem, przez Jana Ładę (ciąg dalszy). — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Ojeze nasz, obrazek, przez Janinę Głogórną. — D-r Lidya Rabinowicz-Kempner, przez Ludwikę P. — Z sali odczytów, przez Zofię S. — Przegląd muzyczny, przez St. Dziadulewicza. — Błyski. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 10-ty powieści „Dziennik psotnego chłopca“, w przekładzie Zofii S. Dodatek: Przegląd mód. — Opis ubiorów i robót (rycyn 24). — Przepisy kuchenne.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcza“

KSIAŻKA ZBIOROWA p. t.

„Kobieta Współczesna“

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszcza.“

Prenumeratorki „BLUSZCZU“ płacą za powyższe dzieło **tylko rb. 1.**

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

Przegląd mód.



Szkic a
do ryc. 3.

Jak zwykle przy rozpoczęciu nowego sezonu największą uwagę zwracają na siebie kardynałne zmiany w fasonie ubrania, w wyborze materiałów i kolorów. Drobniejsze szczegóły jak przybrania, rodzaj oszyc i kołnierzy, podszewek i t. d. występują dopiero później i nabierają wagi, gdy już typ ogólny ubrania zostanie wprowadzony.

Dziś już stanowczo powiedzieć można że formy wcięte zapanują nad luźnami. Miękkie,

w dole silnie rozszerzone spodnie, niekiedy w części przykryte rodzajem tuniki, niekiedy nasładowujące spodnie podwójną, gładkie staniki, niezrzedko ozdobione epoletami, z rękawami do łokcia, wązkie, powyżej bufiastymi (*mauches gigot*), oto w ogólnych zarysach typ ubrania na sezon najbliższy.

Jedno z drugiego wypływa, że taka zmiana kroju sukien, wprowadza też pewną zmianę w fasonie gorsetów. Prosty przód, (*droit devant*) jest wprawdzie przy nowych gorsetach zachowany, lecz noszone obecnie są na plecach i bokach nie-równie mocniej wcięte i z przodu w górze, o wiele wyższe.

Na eleganckie, wedle dzisiejszej mody suto przybrane snkie spacerowe przedewszystkiem poszukiwane są: sukno i kaszmir, na lżejsze kaszmir i taffetas albo tylko taffetas.

Co do przybrań, nowości wybitnych nie widzimy. Taśmy, plisy, sutasz, u sukien *tailleur*, nie odbiegających wiele od surowego pierwotnego wzoru za to przy sukniach strojnieszszych, popołdniowych, każde przybranie jest dowolne i nawet trudno byłoby orzec któremu z tysiącznych przybrań moda przynajmniej rierwszeństwo.

Nowością w pośród materyaliów jest tak zwany *taffetas*, miękki, gładki, wybornie zastępujący etaminę. Z zestawień w dwóch tonach, jako nowość zanotować można brudno, ciemnoniebieską kratę na tle beige. Obok zawsze mo-



№ 2. Płaszcz spacerowy albo do podróży.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 21—27).

suwających się z pod rękawa, lub odłożonych na rękawy. Materiałem przeważnie na takie przybrania używam jest płótno albo pika, tak jedno jak i druga bywa w tysiącnych tonach i rodzajach a zawsze najmodniejsze te, które i w męskich modach stanowią najświeższą nowość.

Wiele jeszcze spódnic *tailleur* krótkich, wykończanych bez podszewki, sporządza się krojem złożonym z 7-u brytów z wszywaniami do wysokości kolan fałdami. Spodnice do ubrań strojnniejszych składają się z 2-ch lub 3-ch, silnie w dole rozszerzonych części.

Barczo wygodne są jak okrycia formą sac ków, w których zmienione szczegóły nadają znamię nowości. dla osób dobrego wzrostu najzręczniejszymi są długie paltoty wcięte, z oddzielnymi krojonymi połami (redingotes), które też jako dopełnienie kostyumów do podróży niemało znajdują zastosowania.



№ 3. Paitocik wiosenny z jasnego sukna.
(Patrz szkic a). (Krój pierw. str.
tabl. Fig. 28—35).

Rękawy tak zwane *gigot* zwyciężyły, lecz kto wie czy nie są one przejściem do rękawów gładkich, zupełnie wazkich, które sie już przy kostymach prawdziwie *tailor-made* pojawiać poczynają. Zresztą rękawy tak jak każdy inny szczegół toaletowy pozostawiają ogromną swobodę wyboru przybrań i układu.

O kapeluszach pomówimy w specjalnych przeglądach, dziś zaznaczamy tylko, że wysoko podniesione rondo z tyłu i bardzo suty *cache-peigne* spotykać będziemy prawie na każdej głowie.

Wzory ubiorów i robót do Nr. 13.

№ 1. Kostyum do konnej jazdy konnej (amazonka)
z długim paltocikiem.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 56—66).

Zupełną nowością tak co do wyboru materiału, jak i do fasonu jest amazonka z szarego angielskiego materiału w granatowe i zielone kraty. Spódnica umiarkowanie długa, na boku sporządzona w ten sposób, że ją łatwo unosić można. Długi paltocik na jedwabnej podszwecze z przodami przeciętymi i kamizelkowo na wierzch nastębnowanami, złożony poniżej stanu w głębokie, kryte fałdy. Szmizetka i mankiety białe, płócienne, krawat pikowy.



Szkic *b* Szkic *c* Szkic *d* Szkic *e*
do ryc. 8. do ryc. 9. do ryc. 6. do ryc. 12.



№ 1. Kostyum do konnej jazdy (amazonka)
z długim paltoikiem.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 56—66).



№ 4. Luźne wiosenne okrycie z jasnego sukna.

№ 2. Płaszcz spacerowy albo do podróży.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 21—27).

Płaszcz z pledowego, angielskiego materiału w kratę składa się z dwóch części, bluzkowej i lekko przymarszczonej spódnicy, połączonych razem i obcisniętych paskiem z materiału bawecikowo ściętym. W górze część płaszcza, zapięta na 2 rzędy rogowych guzików, lekko ponad pasek wyrzucona. Rękawy do łokcia zastębowane w fałdy, powyżej szerokie, bufiaste. Przybranie stanowią mankiety i zielony kołnierz z aksamitu w tonie odpowiednim oraz wąskie pliski z materiału nastębowane w rodzaju aplikacji. Płaszcz może być wykonany bez podszewki, albo na lekkiej jedwabnej.

№ 3. Paltocik wiosenny z jasnego sukna.
(Patrz szkic a).
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 28—35).

Paltocik z jasnego, paskowego sukna na jasnej, strojnej, jedwabnej podszewce, przybiera na kołnierz i na mankiety aksamitu w tonie pastelowym, otoczony stębnowanymi plisami naszytymi surowym i węższym sutaszem, jak również złote guziczki i pętelki ze sznura. Paltocik zapięty nieco z boku na pętelki i guzik. Stębnowane plisy z materiału naszyte w rodzaju szelek i paska poniżej stanu, dopełniają przybrania.

№ 4. Luźne wiosenne okrycie z jasnego sukna.

Luźne, dowolnie długie okrycie z jasno perłowego sukna na strojnej, białej, jedwabnej podszewce, w oryginalny sposób przybierają różnej wielkości prążkowane, złote guziczki. Całość wykończa stębnówka. Ramiona i wykroję szyi stębnowane osobno, przez naszyte guziczki na ramionach i pętelki z jedwabiu naśladuje jakby luźne przypięcie ramion. Rękawy, umiarkowanie szerokie w górze, złożone przy rękę w fałdę przytrzymałą paską. Kołnierz stojący z białego aksamitu, ostębnowany plisą z materiału i naszyty zielonym sutaszem.

Potrzeba: 3—3½ mtr. sukna podw. szer., 15 ctm. aksamitu, 1½ mtr. sutaszu, 4 duże, 14 małych guzików.

№ 5. Krótki kaftanik, przybrany plisami z taffetas i drobnymi guziczkami.

Krótki kaftanik, bolero, do spódnicy kostiumowej z tego samego materiału, składa się z trzech, w okrągłe zęby ściętych części, schodzących jedna na drugą. Część najwyższa tworzy kołnierz, schodzący na ramiona i przedłużony w kształcie wąskiej kamizelki, zapięty na drobne guziczki, także same guziczki, dopełnione pętelkami z jedwabnego sznureczka, naszyte są na wszystkich częściach kaftanika, ponad plisą z taffetas w ciemniejszym tonie. Rękaw, w górze szeroki, ziewający się przy przybraniu odpowiednio. Jeśli bolero stanowi dopełnienie kostiumu, pasek z tegoż samego materiału, jeśli zastępuje wiosenną okrywę spódnicy z odrębnego materiału, pasek drobny, podszewka jedwabna, strojna. Potrzeba: 2 mtr. sukna podw. szer., 1½ mtr. taffetas, 13 tuzinów pasmanteryjnych guzików.

Luźny wiosenny paltocik. (Patrz szkic d).

z szaro niebieskiego sukna, na jedwabnej podszewce, do przeciętych od ra-

№ 7. Skromny kostium wiosenny z łatwym do rozszerzenia stanikiem.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 83—99).

Kostium z kaszmiru w modnym kolorze składa się z gładkiej, lekko przymarszczonej spódnicy i z kaftanikowego staniczka wypełnionego koszulką z materii w tym samym kolorze. Przybranie stanowi czarna taśma naszyta częściami i zakończona zaokrąglonymi esami. Na spódnicy naszyte kończy się przy przodzie.

№ 8. Wiosenne okrycie z kaszmiru i taffetas dla osoby starszej.
(Patrz szkic b).

Okrycie z czarnego kaszmiru i miękkiego czarnego taffetas, na czarnej jedwabnej podszewce, układa się w kształcie dawniej noszonych dolmanów. Pelerynowe rękawy, wyżej niż do połowy pokryte kolistą krajaną, dopasowaną materią zakończoną w górze marszczoną główką w dole sutem, w zakładki zastębnowanymi falbanami. W ten sam sposób przybrane są przody i luźne, w fałd złożone plecy (patrz szkic c). Szyję obejmuje wykładany, z tyłu okrągły kołnierz, falbanka.

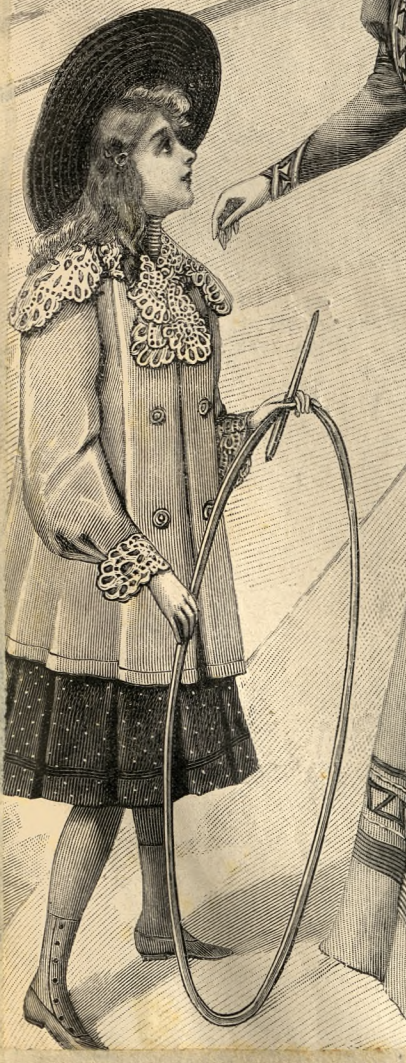
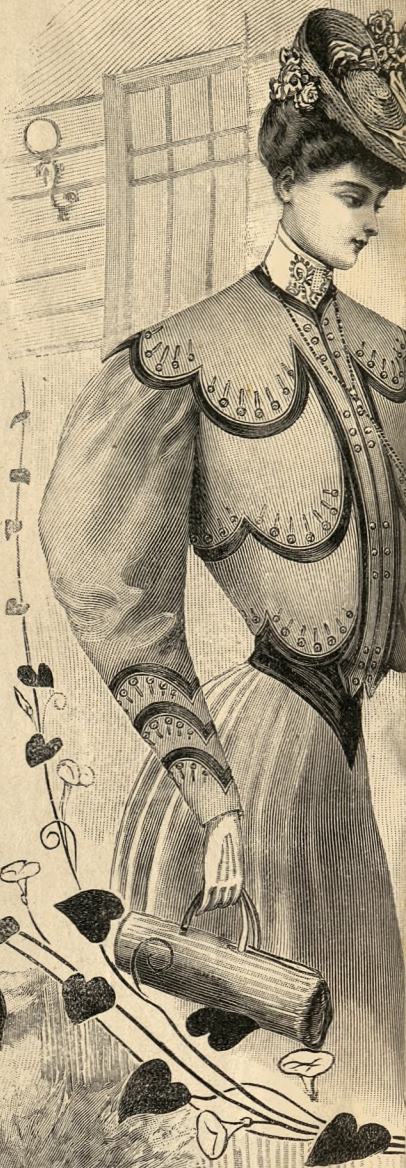
Potrzeba: 2½ mtr. kaszmiru podw. szer., 8 mtr. taffetas, 5 mtr. podszewki.

№ 5. Krótki kaftanik, przybrany plisami z taffetas i drobnymi guziczkami.



№ 8. Wiosenne okrycie z kaszmiru i taffetas dla osoby starszej. (Patrz szkic b).

№ 9. Kostium z materiału w kratę z frakowym stanikiem. (Patrz szkic c).



№ 9. Kostium z materiału w kratę z frakowym stanikiem.
(Patrz szkic c).

Materiał: wełna ciemno bordeaux w zieloną i szafirową kratę. Spódnica gładka, zeszyta z przodu, na oddzielnie wykończonej podszewce, stębnowana w dole. Krótkie bolero, otwarte na czarnej atlasowej kamizelce, przybierają wyłogi z sukna bordeaux, ozdobione czarnymi pasmanteryjnymi motywami. Kamizelka zapięta na drobne metalowe guziczki. Wycięcie przy szyi wypełnia stojący kołnierz z plisowanego białego aksamitu i takież maleńki wykładany przy kamizelce. Pasek z suknu bordeaux, z pod niego płasko ufałdowany frakczek, (patrz szkic c). Rękawy do łokcia z materiału w kratę, poniżej obcisłe z sukna bordeaux.

Potrzeba: 7 mtr. materiału w kratę podw. szer., ½ mtr. sukna, ¾ mtr. czarnego atlasu, 15 ctm. aksamitnego ukosu, 6 tuzinów guziczków, 4 pasmanteryjne motywy.

№ 10. Sukienka z krótkim kaftanikiem dla dziewczynki od 12—14 lat.

Sukienkę z białej, miękiej wełny, przybierają plisy z niebieskiego sukienka, stębnowane białym jedwabiem. Spódniczka marszczona, wykończona bez podszewki, dwa razy naszyta w dole plisami z sukna. Krótki, w fałdy ułożony kaftanik, objęty brzegiem wąską pliseczką. Szeroka plisa, założona w kształcie patek zastępuje kołnierz, wycięcie którego wypełnia mała szmizetka z gipiury na podłożeniu z białej materii. Rękawy do łokcia wąskie, powyżej bufiaste, przepięte plisami, złożonemi podobnie jak u kaftanika. Wysoki, drapowany pasek z niebieskiego atlasu, zapięty z tyłu, przyszyty do stanika z podszewki.

Potrzeba: 4½ mtr. materiału podw. szer., ¼ mtr. sukna, ¼ mtr. atlasu, ¼ mtr. gipiury, 4 guziki.
(Patrz szkic d).



№ 7. Skromny kostium wiosenny z łatwym do rozszerzenia stanikiem.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 83—99).

№ 11. Paltocik wiosenny dla dziewczynki od 7—8 lat.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 36—39).

Paltocik z paskowego sukna, wykończony na lekkiej jedwabnej lub pół jedwabnej podszewce, strojnie przybierają: kołnierz i mankiety z materiału użytego na paltocik, a jour haftowane na maszynie jedwabiem w tonie materiału. Na kontrafaldach z przodu naszyte płaskie, perłowe guziki. Rękawy umiarkowanie szerokie przy mankiecie zczepione w fałdki.

№ 12. Kostium wiosenny formą princesse z krótkim kaftanikiem. (Patrz szkic e).
(Krój odw. str. tabl. Fig. 70—82).

Oryginalny kostium z kaszmiru szaro lila w formie princesse, do wysokości stanika sporządzony bez podszewki, przybierają plisy z materiału naszyte czarnym sutaszem, oraz wyszycie z ozdobnej plecioneczki tworzące grecki deseń. Naszycie to w zab ułożone na sukni spoczywa bezpośrednio na materiale, dopełnione z obu stron sutaszem białym i plisami, w górze wąską w dole szeroką. Przy krótkim kaftaniku, obcisłym górze sukni naszyte podłożone jest białym sukmem i dopełnione plisą. Naszycie i plisy ziewają się na kołnierzyku i na rękawach, na których naszyte są przy rękę i podpinają krótką bufkę. Wycięcie przy szyi wypełnia gipiurowa szmizetka i żąbót z koronki. Suknia w staniku doskonale dopasowana na podszewce, zapięta na 2 rzędy drobnych złożonych guzików.

№ 13. Kostium wiosenny z paltotem redingota.
(Patrz szkic f).

Materiał: sukno w brązowym ciemnym tonie. Spódnica gładka, wykończona bez podszewki, zakończona w dole stębnówka. Lekko poprzecznie drapowany stanik, dopełniony długimi połami, odzyskami na jedwabnej podszewce, zapięty z przodu na 2 rzędy guzików, naszytych na gładkiej kamizelce. Mankiety i kołnierz z kłapami z kremowej mory, ujęte w plisy z materiału stanowią bardzo dystygnowane przybranie. Rękawy gipof, umiarkowanie szerokie, szmizetka zmieniana może być dowolnie, płócienna, jedwabna, w dobranym czy odrębnym kolorze.

Potrzeba: 7½ mtr. sukna podw. szer., 1 mtr. mory, 10 guzików, 6 mtr. jedwabnej podszewki.

№ 14. Wiosenny paltocik dla panienki od 15—16 lat.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 105—108).

Paltocik z granatowego sukna lub szewiotu, przybierają wypustki z kremowego aksamitu, wszystkie w szwy na przodach, na plecach, na kołnierzu przy karczku, kieszonkach i mankiety. Kołnierz z wyłogami, mankiety przy bardzo umiarkowanych rękawach i kieszonki wykończone po mężku. Guziki rogowe. Całość wykończa staranna stębnówka. Podszewka półjedwabna.

№ 10. Kostium wiosenny formą princesse z krótkim kaftanikiem. (Patrz szkic e).
(Krój odw. str. tabl. Fig. 70—82).

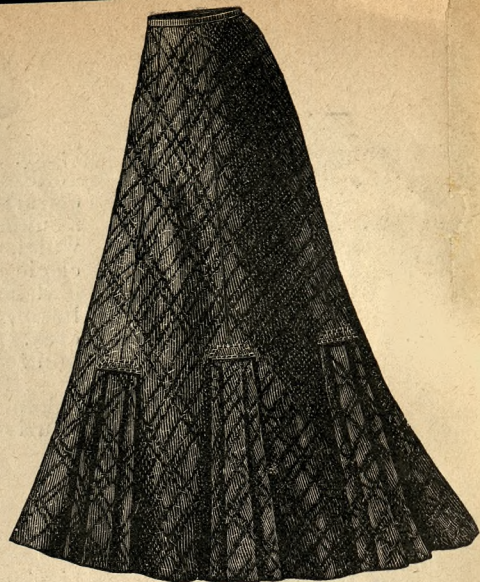
№ 13. Kostium wiosenny z paltotem redingota.
(Patrz szkic f).



№ 14. Wiosenny paltocik dla panienki od 15—16 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 105—108).



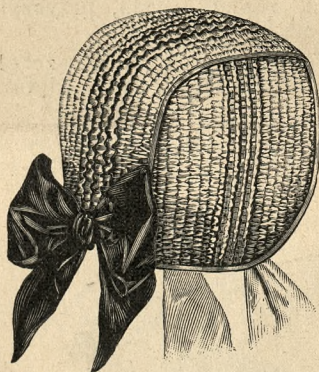
№ 15. Pelerynka dla chorych, leżących w łóżku. (Krój odw. str. tabl. Fig. 112).



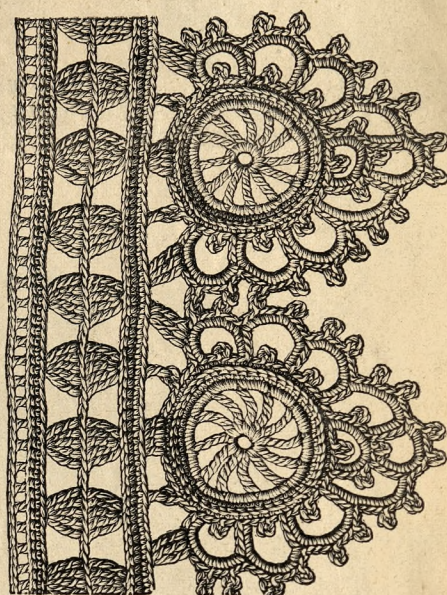
№ 16. Spódnica do kostymu. (7 brytów i odcięte fałdy). (Krój pierw. str. tabl. Fig. 51—55).



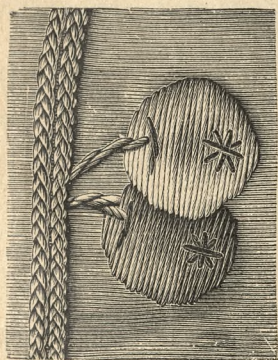
№ 18. Oparcie i poduszka na trzcinowe krzesło. (Patrz ryc. 21).



№ 17. Kapturek dla małej dziewczynki. (Krój odw. str. tabl. Fig. 113—114).



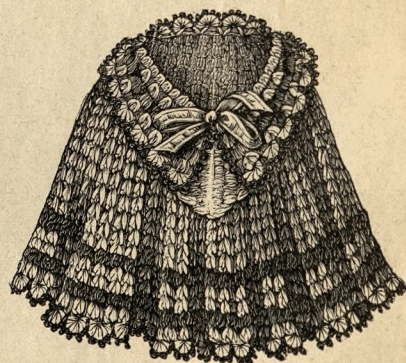
№ 19. Koronka szydełkową robotą do serwet, franek it. d



№ 20. Część haftu do ryc. 23. (Wielkość oryginalna).



№ 21. Część aplikacyi do ryc. 18. (Wielkość oryginalna).



№ 22. Pelerynka włóczkowa z kapturkiem dla małej dziewczynki.

Obiad na Niedzielę.

Zupa szczawiowa z jajami sadzonymi i ptysiowym groszkiem.
Lin duszony w jarzynkach.
Kotlety z kury z pieczarkowym sosem,
Szpinak z rakowemi szyjkami.
Polędwica z krokietami z móżdżku.
Sałata.
Galaretka ponczowa.

Zupa szczawiowa z jajami.
Pierogi z mięsa zapiekane z parmezanem.
Polędwica z krokietami z kartofli.
Sałata.
Galaretka pomarańczowa.



№ 23. Wierzch do poduszki ozdobny haftem płaskim.



№ 24. Wierzch do poduszki ozdobny haftem płaskim.